Nr. 20. Lwów — Czwartek dnia 24 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Śr. św. Tymoteusza | Tatianny M.
Jutro: Pt. Nawr. św. Pawła | Jermyla i Str.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 46
Zachód „ „ 4 „ 40

Długość dnia g. 8 m. 54
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 23 stycznia.

„I coraz podlej na tej ziemi było" — brzmi smutne słowo Irydiona. Coraz podlej być musi, bo owo wieczne głupstwo, o którem mówi jeden z bohaterów Szekspira, rozsiadło się w prasie i z niej się sączy w sumienie narodów. Massynissa przybrał kształty drukowanego słowa i wytwarza atmosferę kłamstwa, zawiści, oszczerstwa, negacyi; oddychają tem tłumy, nauczone tylko czytać — i to jest „gród ich ducha, pełny zabójczych wyziewów." Kłamstwo i zawiść — rodzeństwo głupoty popycha polskie radykalne pisemka do miotania oszczerstw na własne społeczeństwo, a wnet to chwytają ci wrogowie nasi, dla których każdy środek walki z nami jest dobry. Oni mówią swojemu narodowi, że te oszczerstwa są szczerą prawdą, bo pochodzą z ust szczerych, z polskich „poważnych i rozpowszechnionych" dzienników, które „zwykle ton dają" swemu społeczeństwu. Mówiąc tak, wiedzą, że kłamią, ale im mniejsza o to, bo wszelki środek walki jest dobry. Jeśli Polak nie wahał się oszkalować swoich, to juści obcym a wrogim wolno do tego dodać trochę kłamstwa. I tak wytwarza się o nas opinia w Europie wśród tych niezliczonych tłumów, które dziś bardzo wiele, jeśli jeszcze nie wszystko znaczą, a umieją tylko czytać i to czytać najgorsze.

Wczoraj musieliśmy, niestety, wytknąć jedno głupstwo, które jest wieczne i nigdy nie umiera, a już dziś musimy wskazać drugie. *Goniec Wielkopolski*, żyjący z oszczerstw, doniósł, że warszawska deputacya, która jeździła do Petersburga na pogrzeb Aleksandra III, składała się z samych szulerów, ale nad Newą natrafiła na jeszcze sprytniejszych i przegrała pół miliona rubli, o czem dwór się dowiedział, obraził się, że w takiej chwili, kiedy cała Rosya płakała, Polacy grali w karty, i chwilowo życzliwe usposobienie wnet zmienił na gniewne, a wtedy książę Walii powiedział, że to był czwarty rozbiór Polski.

Nie ma w tem ani cienia prawdy. Jest kłamstwo zupełne, ułożone dlatego, aby przed gronem małomiejskich i siermiężnych czytelników *Gońca* oczernić „panów", którzy oto znowu zgubili naród. Na krótko przedtem *Goniec* oskalował ks. arcybiskupa Stablewskiego i kapitułę poznańską, a pod groźbą procesu karnego odwołał swe oszczerstwo. Sprawa ta była głośna w Wielkopolsce, jednak to nie przeszkodziło tamtejszym niemieckim dziennikom nazwać *Gońca* pismem poważnem, prawdomównem, nadającem ton społeczeństwu i po takiej rekomendacyi przytoczyć jego zmyślenie. Powtórzyły to natychmiast wszystkie niemieckie pisma od Królewca do Strassburga, bo to było na rękę temu spiskowi, który się utworzył w Poznańskiem pod nazwą „Szerzycieli niemczyzny na wschodnich kresach Niemiec". A że polityczne te pisemka radykalne, pokrewne *Gońcowi* i on sam, trąbią w dudy patryotyczne, zachęcają do demonstracyjnej żałoby, do obchodów, które nie dadzą nic myśli i sercu, ale za to wytwarzają niepokój ducha, mętną wodę, pożądaną dla wichrzycieli, przeto i na to mogli się powołać niemieckie pisma, ale już nie jako na agitacyę tych samych tromtadrackich i oszczerczych świstków, lecz jako na robotę rzeczywistych przedstawicieli narodu: szlachty, duchowieństwa, inteligencyi. Było to drugie kłamstwo prasy niemieckiej, lecz cóż ono szkodzi? Wszakże wszelki środek walki jest dobry!

I tak na raz, w oczach Niemców, a z łaski naszych własnych tromtadrackich świstków, które krzykiem patryotnickim pokrywają swą głupotę i podłość, urośliśmy na szynierów i wichrzycieli, których wytępić trzeba po prostu ze względów na dobro cywilizowanej ludzkości, — wypalić trzeba, jak dzikie mięso. Nie dziwmy się wołaniu niemieckiego *General-Anzeiger*'a, powtórzonemu przez setki pism pruskich, bawarskich, saskich i wszelkich innych; nie dziwmy się, bośmy temu pismu sami, za pośrednictwem *Gońców* i *Orędowników*, dostarczyli materyału przeciwko sobie. „Walka przeciw polonizmowi — głosi ten dziennik — wymaga znowu zdwojenia sił narodowych. Łagodny powiew z Berlina zasiał w dawnych polskich prowincyach smocze zęby, z których wprawdzie nie wyrastają żelazni mężowie, ale rozplenia się mania wielkości wśród Polaków, a z tym chwastem trzeba się rozprawić raz na zawsze k o s ą i s i e r p e m. W obec wzmagającej się arogancyi Polaków, cel uświęca nawet takie środki, które w innych warunkach budziłyby poważne wątpliwości... Czekamy z wielką niecierpliwością, aby rząd objawił swą wolę i dał ton uderzenia na gromadę Krapülinskich i Waschlapskich. Co w ostatnich 24-ech latach uczyniono za wiele względem spokojnych Alzatów, to się okazało zbyt małem dla wiecznie wzburzonych Polaków. Dawne hasło walki „Jeszcze nie zginęła" wykrzykują oni dziś śmielej i uporczywiej, aniżeli kiedykolwiek przedtem. To szlachta przewodzi, głosząc zagładę Niemcom, pracującym spokojnie na wschodnich kresach cesarstwa niemieckiego, a duchowieństwo błogosławi, a inteligencya zachęca, agituje, przygotowuje pożar..."

Jest to po prostu wezwanie do rzezi Polaków, napaść, za którą ten dziennik i wszystkie inne, które artykuł jego przedrukowały, powinny być powołane przed sąd za podburzanie do wojny domowej. W tych dniach prokuratorya w Manheimie wytoczyła proces dziennikowi badeńskiemu *Volksbote* o obrazę żydów w artykule „Judenmoral" i sąd wydał wyrok potępiający. W innym wypadku tak samo postąpił trybunał berliński. Ale do Polaków stosuje się inna miara; ich wolno bezcześcić i podawać w nienawiść. My o tem powinniśmy wiedzieć i pamiętać, że wolny naród musi dbać przedewszystkiem o to, aby był czysty przed własnem sumieniem, niewolny zaś jest jeszcze obowiązany bardzo strzedz swej dobrej reputacyi za granicami. A na to jest tylko jeden sposób: silna kontrola nad wszystkiem, co się drukuje i mówi publicznie, bo to zawsze uchodzi za opinię ogółu, chociaż w rzeczywistości jest często tylko opinią handlarzy patryotyzmu. Do nich się też zwracając, jak zaczęliśmy słowami Krasińskiego, tak i skończymy: „I strun twoich granie zagłuszy wrzask mordu, i nic nie zostanie z twojego akordu!"

Telegramy doniosły o jakichś zaburzeniach w Atenach, w skutek których — wedle pogłosek — król zamierza abdykować. Otóż ta pogłoska, powtarzająca się dość często, okazała się i tym razem fałszywą. Zaburzeń zaś właściwie nie było, tylko oba główne stronnictwa parlamentarne — jedno Trikupisa, drugie Delianisa — wiecznie wojujące ze sobą na zabój, przeniosły walkę z parlamentu na ulicę i zmobilizowały swych stronników, którzy na zgromadzeniach pod otwartem niebem, mianowicie na placu Marsowem pouchwalały, co im się podobało, potem chciały demonstrować przed pałacem królewskim, ale kiedy im zabroniono, rozeszły się spokojnie.

Depesza wczorajsza doniosła o ostrym zatargu handlowo-politycznym między Austro-Węgrami a Bułgaryą. Powody tego zatargu są następujące: W dniu 13 stycznia weszła w życie prowizoryczna ugoda handlowa między temi dwoma państwami, mająca uregulować ich wzajemne stosunki handlowe na przeciąg dwóch lat. Postanowiono w niej, że od towarów austryackich importowanych do Bułgaryi pobierane ma być cło wchodowe, wynoszące 10% ich wartości, a nadto akcyza wynosząca ½%. Tymczasem sobranie bułgarskie przy końcu ubiegłego roku uchwaliło ustawę, nakładającą bardzo wysoką opłatę akcyzową na szesnaście kategoryi towarów bez względu na to, czy one są w Bułgaryi produkowane, czy też sprowadzane z zagranicy. Mianowicie nałożono tę opłatę na alkohol (75 franków od hektolitra), naftę (5 franków), cukier (20 franków od 100 kilogr.), konfitury i inne wyroby z cukru (40), kawa i jej surogaty (50), piwo (5), rum i likiery (30), oliwa (10), zapałki (100), herbata (100), perfumerye (300), świece stearynowe (20), karty do grania (12 franków od tuzina pakietów), konserwy ryb (50 franków od 100 kilogr.), kawior (100). Opłaty te wprowadzono w życie równocześnie z prowizoryczną ugodą handlową.

Owoż przeciw zastosowaniu tej akcyzy do towarów austro-węgierskich zaprotestował rząd Austro-Węgier, wychodząc z założenia, że to sprzeciwia się owej prowizorycznej ugodzie, a w drugiej nocie zaprotestował przeciw wydanym ostatnimi czasy bułgarskim przepisom patentowym, które obywateli austryackich traktują niekorzystniej aniżeli rodowitych Bułgarów, co również sprzeciwia się owej ugodzie. Rząd bułgarski w kilku notach starał się usprawiedliwić, dodając, że gdyby Austrya obstawała koniecznie przy swoim proteście, to nie pozostałoby mu nic innego, jak ustąpić.

Stanowisko, z jakiego oba rządy zapatrują się na tę sprawę, jest następujące: Rząd austryacki utrzymuje, że ta nowa opłata nie jest właściwie akcyzą, tylko zamaskowanem podwyższeniem cła. Zaprowadzenie akcyzy ma bowiem racyą wtedy tylko, jeżeli obłożone nią artykuły wyprodukowane bywają w znacznych ilościach w kraju, w tym wypadku jednak nie ma to miejsca, gdyż Bułgarya wszystkie te artykuły sprowadza niemal wyłącznie z zagranicy, to też ta akcyza dotknie tylko import, a od cła wchodowego różni się tylko nazwą. W trakcie rokowań o prowizoryczną ugodę handlową żądała Bułgarya, ażeby jej wolno było pobierać cło wchodowe wynoszące 15% wartości towarów, gdy jednak Austrya pod żadnym warunkiem na to się nie chciała zgodzić, musiała zadowolnić się cłem 10%-wem, a dziś chce tę swą koncesyę uczynić illuzoryczną przez zaprowadzenie nowej opłaty wewnętrznej.

Rząd austryacki od samego początku sprzeciwiał się wprowadzeniu akcyzy, a to swoje oporne stanowisko zamarkował aż nadto wyraźnie przez to, że nie pozwolił na zamieszczenie w tekście traktatu żadnej wzmianki o akcyzie, z reguły zaś, skoro ma być pobieraną oprócz cła wchodowego jeszcze jakaś opłata wewnętrzna, to w traktacie wyraźnie się o tem mówi. Wobec tego zatem akcyza nie może być pobierana od towarów austryackich.

Bułgarski rząd w odpowiedzi swej opiera się na tem, że akcyza ta zaprowadzoną została ustawą uchwaloną, przez sobranie w drodze konstytucyjnej, której tak łatwo cofnąć nie można. Wprowadzono ją dlatego, ażeby pokryć ubytek w dochodach, wywołany zniżeniem podatku gruntowego. Rząd liczy na to, że przyniesie ona co najmniej 8 milionów rocznie, która to kwota jest niezbędnie potrzebna Bułgaryi do utrzymania równowagi budżetowej. Akcyza ta w równej mierze dotknie wszystkie państwa wywożące swe produkta do Bułgaryi, w rzeczywistości jednak uczują jej ciężar tylko konsumenci bułgarscy, gdyż Bułgarya nie ma jeszcze żadnego własnego przemysłu. Zresztą opłata ta jest niższą od istniejącej w Serbii tak zwanej troszariny, przeciw której nikt nie protestował. Austrya nie ma powodu do skargi, skoro Anglia, której handel z Bułgaryą zajmuje drugie miejsce, bezpośrednio po Austryi, zgodziła się na ten nowy podatek.

W końcu zapewnia rząd bułgarski, że jakkolwiek akcyzy tej na razie zmienić nie może, jednakże w rokowaniach o definitywny traktat handlowy poczyni wszelkie koncesye, jakich tylko Austrya domagać się będzie.

Jak widzimy, różnica zapatrywań obu rządów jest ogromna, a wyrównanie jej jest bardzo trudne, gdyż z jednej strony nowa ta opłata jest rzeczywiście bardzo dotkliwa, z drugiej zaś strony bez tej opłaty popadłaby Bułgarya w kolizyę finansową. Oba państwa jednak mają swój interes w tem, aby spór ten jak najrychlej zażegnać, Bułgarya przeważnie z politycznych względów, Austro-Węgry zaś z ekonomicznych, gdyż import towarów austryackich do Bułgaryi przedstawia już dziś pokaźną cyfrę przeszło 30 milionów reńskich rocznie i z roku na rok stale wzrasta.

Korespondencye.

Wiedeń 20 stycznia.

Świeżo ogłoszone sprawozdanie z ruchu na kolejach państwowych za rok ubiegły bardzo pomyślnie się przedstawia. Dochody wynosiły bowiem 85,700.000 zł., o 5,900.000 zł. więcej, niż w r. 1893. Od sumy tej niemal 6 milionów, o jaką zwiększyły się dochody, odciągnąć jednak należy około 700.000 zł. na rachunek w roku 1894 dopiero nabytych linii i około 800.000 wypłaconych dawniej prywatnym liniom lokalnym tytułem wynagrodzenia. Podwyższenie więc dochodów po strąceniu tych sum, wynosi do $4\frac{1}{2}$ miliona zł. Ten nadzwyczajny rezultat większej nabiera jeszcze wagi, jeśli się zważy, że dyrekcya generalna mimo wielkich wydatków na polepszenie płac i pensyi dzięki różnym zaoszczędzeniom w zarządzie o jeden tylko milion powiększyła rubrykę rozchodów.

Głównym powodem tego rozwoju linii państwowych jest obok wzorowej administracyi ożywiającej swoją zręczną polityką taryfową ruch towarów i umożliwiającej powstanie nowych zakładów fabrycznych, wymiana szybsza i większa produktów i import zboża rosyjskiego i rumuńskiego. Import zboża w roku ubiegłym był bardzo wielki i choć nie przybierał rozmiarów takich jak w r. 1893, kiedy wojna celna rosyjsko-niemiecka zmuszała producentów rosyjskich kierować swój wywóz wyłącznie do Austro-Węgier, w każdym jednak razie ciężko zaważył na szali. Jak wielkim był ruch w ogóle na kolejach państwowych, wnioskować można najlepiej ztąd, że na nich o 200.000 wagonów więcej przewieziono towarów w r. 1894 niż w 1893.

Przyczyniły się do tego rozwoju oczywiście także nowo powstałe fabryki i zakłady przemysłowe, których wzdłuż linii kolei państwowych zbudowano w 1894 roku: 29 (o 12 więcej, — niż w roku 1893). W samej Galicyi powstało w roku ubiegłym 15 nowych zakładów.

Czy ten wykaz, bezsprzecznie bardzo pomyślny, nie stanie się jednak bodźcem do wysnuwania nowych, a przesadnych wniosków na temat nadzwyczajnego wzrostu sił ekonomicznych państwa? Zdaje się niemal, że tak. Na giełdzie wiedeńskiej jeszcze dotąd nie opamiętano się — a wiadomości z Berlina o wyczerpaniu środków tamtejszej kliki spekulantów, chcących obniżyć kurs papierów austryackich, podsycają tylko pożądliwość szalonych tutejszych graczy, kupujących bez zastanowienia się. W Niemczech od wielu lat prowadzi się zacięta choć skryta walka z austryackim targiem.

Nie podobało się w Berlinie, że Austro-Węgry zaprowadzają walutę złotą. W pismach bardzo nawet poważnych odzywano się o całem przedłożeniu ministrów Steinbacha i Wekerlego z lekceważeniem, w innych oskarżano rząd austro-węgierski, że kosztem niemieckiego kapitału uporządkować chce stosunki finansowe. Sprzedawano rentę austryacką i węgierską w Berlinie, starano się ile możności podwyższyć ażio złota w stosunku do walorów austro-węgierskich. Potężna grupa finansowa, która przeprowadzała pożyczki dla Austro-Węgier i która nie rozumie się na patryotyzmie specyficznie pruskiem (choć do niej i berlińskie banki należały!) rozporządzała dość znacznemi siłami, aby po krótkiej walce zgnieść stających jej w drodze czysto pruskich finansistów.

Pożyczki i konwersye powiodły się świetnie, kredyt Austro-Węgier ustalił się, jak nigdy przedtem, spłoszony z pola spekulant, wrogi temu państwu, szukać musiał innych dróg do eksploatacyi. I tak rzucono się w Berlinie i Hamburgu na spekulacye zniżkowe w akcyach banków wiedeńskich i kolei austryackich. Berlińscy i inni niemieccy kapitaliści tracili i tracą wciąż jeszcze olbrzymie sumy. Niedawno dwóch bankierów zastrzeliło się, nie mogąc dopełnić zobowiązań i naruszywszy depozyty. Świeżo hamburski „bank dla pośredników" stracił dzięki manipulacyom giełdowym, zarządzonym bezprawnie przez dyrektora, więcej niż pół swych funduszów.

Dyrektor sam — zdaje się — grał na giełdzie i to spekulował na zniżkę austryackich papierów. Tak stracił przeszło milion marek. Bank utrzyma się tylko nadzwyczajnemi ofiarami rady nadzorczej, która swe obowiązki spełniania „nadzoru" tak dobrze przeprowadzała. Do dziś wiedeńska giełda zwycięża. Ale cóż będzie dalej?

Głosy prasy.

Z powodu owych dwóch artykułów *Gazety Narodowej*, o których mówiliśmy wczoraj, pisze *Czas* co następuje:

Unikamy ile możności polemiki z innymi dziennikami, unikamy jej zwłaszcza kiedy z przyjemnością widzimy, że niektóre z nich rozumieją nasze sprawy lepiej, a mówią o nich tonem właściwszym, niż dawniej miały to w zwyczaju. Gdzie zaszła zmiana na lepsze, tam usterki, jakie być mogą, łatwiej przemilczeć i znosić. Z tem większą też przykrością przychodzi nam stwierdzić, że od pewnego czasu powtarzają się w *Gazecie Narodowej* oznaki powrotu do dawnej a nie chwalebnej tradycyi szkalowania ludzi godnych i podburzania opinii przeciw tym, których szanować i którym ufać powinna.

Kilka dni temu czytaliśmy ze zdumieniem artykuł pełen obelżywych podejrzeń czy oskarżeń przeciw ks. arcybiskupowi Morawskiemu i nominatowi księciu Biskupowi krakowskiemu. Metoda zawsze ta sama. *Gazeta* podaje w wątpliwość ich uczucia polskie, a charakter ich waży lekko! To samo robiła w swoim czasie za panowania Jana Dobrzańskiego, z tymi, których znowu teraz świeżo wychwalała: Adama Potockiego, Popiela, Szujskiego, Zyblikiewicza. Odpowiedzi takie rzeczy nie potrzebują, wystarcza wskazać, że są. Dziwno nam tylko, że dotąd za mało były uważane i wskazane.

Zdaje się jednak, że na tem nie koniec; są poszlaki, z których możnaby wnosić, że powrót do dawnego obyczaju wynika z planu i systemu. — W *Gazecie Narodowej* bowiem z piątku dnia 18

---

8)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę*.

(Ciąg dalszy).

Ręka jego, mnąca już od chwili w ukryciu kapelusza jakiś szeleszczący papierek, wyciągnęła się jakby z obawą do drewnianej szkatułki stojącej na stole i wsunęła w nią pięćdziesięcio-reńskowy banknot.

— Dziękuję panu — szepnęła Tola z wdzięcznem spojrzeniem, które błogością rozpromieniło twarz Emila.

Nic już sobie nie powiedzieli, ale Emil pozostał na swem stanowisku u rogu stołu, uważając zapewne, że skoro zapłacił bilet wstępu, miał do tego niezaprzeczone prawo. Po drugiej stronie, przy boku pani Wilmy, strożował znacznie mniej cichy, ale za to wcale już niezarumieniony p. August, który na wszelkich zebraniach towarzyszył jej niezmiennie, w oddaleniu co najwięcej półtora metra. Żadne siły ani powaby nie mogły go wyciągnąć z tego zaklętego koła, w które zakuty został uczuciem, czy przyzwyczajeniem, czy jakimkolwiek innym łańcuchem — trudno było orzec na pewno.

Wszyscy tak się już przyzwyczaili widywać go obok Wilmy w salonie, że na nikim to już nie robiło wrażenia, a najmniej podobno na samym Auguście.

Siedział z miną trochę znudzoną, słuchając do koła prowadzonych rozmów i dorzucając do nich czasem krótkie, ale złośliwe słówko.

Nagle ktoś zaszedłszy z tyłu, położył mu rękę na ramieniu.

— August, byłeś wczoraj na obiedzie u pani Anny?

— Nie... albo co?

— Historyczny obiad, a raczej powinienem powiedzieć „histeryczny"; dwie damy dostały spazmów.

— Dwie? na jeden obiad to trochę za dużo; i wiesz które?

— Wiem — p. Karol ubiegał się o to, ażeby w sprawach tego rodzaju być wszechwiedzącym. — Jedna z nich Matylda; mąż jej wyjechał przed kilku dniami do Krakowa w bardzo pilnym interesie, a Erazm wczoraj najniespodziewaniej napotkał go w ogrodzie miejskim w Tarnopolu i ze swoją wrodzoną zręcznością pospieszył udzielić tej miłej nowiny Matyldzie, która oczywiście zemdlała.

— Idyota! żeby dwie zimy bywać w tutejszem towarzystwie i nie nauczyć się jeszcze, że Feliks z pewnością zajedzie do Pacanowa, gdy żonie da adres do Londynu; no a druga?

— Druga, to ofiara pięknego Sławka M., coś się z nim przemówiła przy czarnej kawie i dostała spazmów.

— A wiesz co z tego wyniknie?

Pan Karol szeroko otworzył oczy; wiedział on zawsze ze szczególną dokładnością, co się gdzie już stało, ale co się dopiero stanie? tak daleko jego wiadomości nie sięgały.

— Cóż takiego ma wyniknąć?

— Trzecie spazmy u Zdzisława w domu — zawyrokował poważnie August.

— Jakto, czyż i pani Marya?... ej, przecież z niej zawsze była taka apatyczna laleczka, skądże by ona znowu zaczęła chorować na nerwy.

— Ona choruje chronicznie na wszystkie cierpienia, przypadłości, wady, przymioty, jakie są udziałem *de toutes les flammes* jej niestałego małżonka. Wzięła sobie za system ubiegać się o naśladowanie ich w mowie, w ruchach, nawet w czesaniu włosów, — możesz sobie wyobrazić jak jej panna służąca jest temu rada; co dwa tygodnie musi jej zmieniać fryzurę.

— A rezultat?

— Rezultat, że Zdzisławowi brzydnie zarówno pierwowzór jak nieudatna kopia i w skutek tego po jakim tygodniu, westchnienia jego zmieniają kierunek i obierają sobie inny przedmiot, którym cieszy się, dopóki Marya nie wyśledzi go i nie zacznie się znowu kształcić na jego obraz i podobieństwo.

— A to kapitalne! wiesz, tego rodzaju sportu to jeszcze żadna żona nie uprawiała; gdyby nie to, że liczba tych pierwowzorów jest nieograniczona i wybór zawsze wolny, to takim systemem możnaby nawrócić Sławka na drogę cnoty.

— Pst! o wilku mowa...

Wysoki, elegancki mężczyzna i równie elegancka, ale bardzo drobna i szczupła pani, zbliżyli się do stołu.

Suknia nowoprzybyłej była prawie tego samego cieniu, co suknie Wilmy i Toli, ale przy jej śniadej cerze mizernej brunetki, kolor popielaty o wiele mniej korzystne robił wrażenie.

— To szczególne, że byłyśmy tak jednomyślne, sprawiając te kostyumy — zauważyła z kwaskowatym uśmiechem Wilma. Ambrozina zaręczyła mi, że ten odcień wcale się jeszcze tej zimy nie upowszechni — i tobie zapewne obiecywała to samo.

Marya zdawała się nieco zmięszana tą uwagą.

— Och, ja nie u niej robiłam tę suknię — ale zresztą kolor popielaty jest już przecie dawno noszony.

— Kolor popielaty, zapewne; ale nie ten cień właśnie: *souris effrayée* — rzekła z naciskiem Wilma.

Zdzisław przysunął się skwapliwie do Toli wyciągając do niej rękę na powitanie, ale piękna panna nie zauważyła tego ruchu; zdawała się w tej chwili oddana wyłącznie jakiejś niepozornie ubranej klientce, która z pularesem w ręku dumała nad wybraną dla niej parą kaczek, jak gdyby obliczając w myśli, czy nie ofiarowała za nie zbyt wysokiej ceny.

— Dawno już nie mieliśmy szczęścia widzieć pani u nas, — szepnął po chwili Zdzisław.

— Dawno istotnie, — stwierdziła Tola chowając do szkatułki pieniądze odebrane za kaczki — mało teraz wychodzę.

— I dlaczegoż to?

— Bo mam dużo zajęcia w domu.

Treść i ton tych krótkich odpowiedzi uderzały przesadną prawie obojętnością, co widocznie niecierpliwiło, a więcej jeszcze dziwiło p. Zdzisława.

— Przyprowadziłem paniom Marynię, dając jej *carte blanche* co do wyboru sprawunków; ja biorę na siebie tylko zlikwidowanie rachunku, czy można się uiścić z góry?

Bez cienia tej fałszywej skromności, jaką przed chwilą okazał Milczek, wyjął p. Zdzisław taką samą pięćdziesiątkę i z pewną nawet ostentacyą położył ją na stole.

— W imieniu biednych dziękuję panu. — Ton był lodowaty, chociaż gorący rumieniec uderzył na twarz Toli pod ciężarem wymownego uwielbieniem spojrzenia, które towarzyszyło dobroczynnej ofierze.

Obecny tej scenie Emil poruszył się niespokojnie, spojrzał po sali, jakby miał zamiar usunąć się i szukał drogi do odwrotu; z tem wszystkiem pozostał i znowu utkwił w Toli swoje jasno niebieskie nieśmiałe oczy.

— Pani i jutro sprzedawać będzie? — zapytał po długiej chwili namysłu pauzując między wyrazami.

— I jutro także, panie Emilu, ale niech to pana nie obowiązuje, nie chciałabym, aby moje dobroczynne popędy dały się nadto we znaki moim znajomym.

— Przecież... każdy tylko kontent, że może... — zaprzeczył Emil z wielką jak na niego żywością.

Ta przedłużająca się rozmowa, której treść i tempo rzeczywiście nie były odpowiednie do wzbudzenia zajęcia w obcym słuchaczu, zdawała się bardzo wyraźnie nudzić p. Zdzisława.

— Powiem pani coś, co ją rozgniewa, — odezwał się wreszcie śmiało, przygłuszając wyzywającym tonem ostatnie wyrazy Milczka.

Tola spojrzała mu prosto w oczy.

— Słucham pana.

— Pani nie jest do twarzy w dzisiejszej sukni.

— A to dlaczego?

— Bo ten stalowy kolor owionął panią takim chłodem, że się pani zdaje być posągiem ulanym z zimnego kruszcu. Panie, co możecie szafować promieniami słońca, dlaczego upieracie się na tem, aby nas obrzucać lodem?

— Myli się pan, — odparła Tola z uśmiechem trochę wzgardliwym, — nie mam na zawołanie ani słońca, ani lodów; obojętność, to jest jedyny materyał, będący zawsze pod ręką i najlepiej popłacający w świecie.

— Cóż to jest „świat" podług pani?

— Świat, to właśnie pan, ja, kuzynka Wilma; to ta dzisiejsza wenta i jutrzejsza wystawa obrazów. Może gdzieś istnieją ludzie, dla których światem są góry i morza, albo cztery ciasne ściany, zamykające jakiś jasny cel, lub serdeczne ukochanie życia, tym, to potrzeba wielkich miłości i nienawiści, lodów i płomieni: ale nam? takich niepotrzebnych bagaży nie bierze się na drogę życia do sali pierwszej klasy; zabrakłoby tam miejsca na szyk i dobry ton.

Oczy Toli rozpromieniły się, jej delikatne różowe nozdrza drgały jak u rasowego konia, który naraz zerwałby wędzidło, trzymające go na wodzy i drżał cały radością odniesionego tryumfu, obaj mężczyźni stali wpatrzeni w nią wzrokiem, który nie potrzebował komentarzy; gdy umilkła, Emil westchnął głęboko, jakby jej wzruszenie i jemu na chwilę zatamowało oddech.

Zdzisław przystąpił bardzo blisko i pochylając się ku niej, rzekł zniżonym prawie do szeptu, ale pełnym wyrazu głosem:

— Pani się myli; i w naszym świecie potrzeba także wielkich miłości, albo nienawiści; za jedną chwilę nawet zobojętnienia, wyrzeczenia się własnych najgorętszych pragnień na rzecz nie dających się przewalczyć okoliczności, pokutuje się potem życiem całem.

Tola niedowierzająco wzruszyła ramionami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

bm. spotykamy artykuł p. t. „My takich nie potrzebujemy“, który donosi, że młodzi ludzie, wydaleni z Królestwa, zasadniczo mają mieć wzbroniony wstęp do uniwersytetów tutejszych, i że jakiś „miarodajny dostojnik“ (nie nazwany, ale do odgadnienia łatwy) jednemu z tych młodych ludzi miał oświadczyć, że „my tu takich nie potrzebujemy“. Po takim wstępie dowodzi *Gazeta*, że właśnie potrzebujemy. Gdyby nie ci, co za kordonem utrzymują ducha, jużbyśmy może w tym kraju zostali jedni Niemcami, a drudzy panslawistami; że demonstracye robimy i robić powinniśmy; galicyjski patryotyzm tych, którzy o swe karyery tylko dbają, może nie potrzebować ludzi wyższych nad własny interes i zdolnych poświęcić się dla wielkiego celu, ale potrzebuje ich naród i jego sprawa.

Taka była treść artykułu. Powtórzył go *in extenso Kuryer Lwowski*, a *Nowa Reforma* dodała własny komentarz pod tytułem: „Czy to prawda“, w którym żąda sprawdzenia i dochodzenia, a jeżeli się pokaże, że to prawda, w takim razie... nie mówi, co zrobi, ale oświadcza, że potrzebuje bardziej młodych ludzi z wyższym poglądem, niż takich Polaków z imienia, nie z ducha, jak ów (nienazwany) „wysoki dygnitarz“.

Na zapytanie: „Czy to prawda?“ — możemy służyć odpowiedzią.

Prawda, że młody człowiek z Królestwa przyszedł na audyencyę do wysokiego dygnitarza i prosił o przyjęcie do akademii technicznej we Lwowie. Usłyszał odpowiedź, że przyjętym być może, jeżeli zbadanie jego dokumentów wykaże, że ma potrzebne do tego warunki. Zakłady naukowe nie są obowiązane i podług przepisów nie mogą przyjmować każdego, kto się do przyjęcia zgłosi; muszą wiedzieć, kogo przyjmują. Czy te przepisy są słuszne, czy nie, w to nam nie wchodzić — ale przestrzegane być muszą. My tu potrzebujemy takich studentów, co się uczą, a nie takich, co demonstrują i polityką. Zrób pan podanie do rektora, a jeżeli papiery pokażą, że przyjętym być możesz, to będziesz.

Do tego redukuje się zasadnicze nieprzypuszczanie uczniów, wydalonych z Warszawy, do zakładów tutejszych.

Jest jeszcze jedna mała prawda, którą w odpowiedzi na pytanie pozwalamy sobie przytoczyć. Oto ta, że w tym samym czasie odeszło z Namiestnictwa do Rektora w Krakowie jedenaście, a do rektora techniki lwowskiej sześć podań o przyjęcie, z odpowiedzią przychylną.

Powodem gniewu jest oczywiście oświadczenie: „Potrzebujemy uczniów, którzy się uczą, a nie takich, co demonstrują...“ A kiedy dzienniki pytają: czy to prawda? — odpowiemy im dziś, jak odpowiadamy od dawna i zawsze: tak, to prawda. Potrzebujemy uczniów, którzy się uczą, żołnierzy, którzy się biją, księży, którzy chwalą Boga, potrzebujemy w każdym wieku i na każdem stanowisku ludzi, którzy robią to, co do nich należy, i potrzebujemy dzienników, które postępują rzetelnie i uczciwie, jakiekolwiek są ich polityczne opinie. Nie potrzebujemy zaś studentów rozpolitykowanych, a nie uczących się; nie potrzebujemy agitatorów, którzy szczują i wichrzą; nie potrzebujemy dezorganizacyi narodu pod nazwą organizacyi, ani jego hypnotyzowania pod nazwą „budzenia ducha“. Nie potrzebujemy dzienników, które szkalują i bałamucą; nie potrzebujemy chaosu, jaki powstać musi, kiedy jedni w dobrej wierze chcą robić to, co do nich nie należy, a drudzy w złej wierze do tego ich zachęcają.

Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej ustąpił świeżo ze swego miejsca przed szkalowaniem i podburzaniem. Czy to może ten sukces radykalnych pism paryskich budzi ze snu naszych gazeciarskich Temistoklesów, kiedy błotem rzucają na biskupów i oświadczają dumnie, że „nie potrzebują wysokich dygnitarzy, Polaków z imienia, dbałych tylko o własne karyery“.

Dziennik Polski rozprawia się trochę po „kawalersku“. Oświadcza mianowicie, że go to cieszy, iż „nie wszystkie głosy idą w niebiosy,“ więc jest przekonany, że i artykuł *Gazety Nar.* nam nie zaszkodzi; ubolewa wszakże, że *Gazeta* nie zastanowiła się głębiej przed rzuceniem się na Namiestnika i przed szkodzeniem człowiekowi, który „dobrze i wiernie służy krajowi,“ a dotykając kwestyi wystawy, pisze:

„Musimy tu zaznaczyć raz jeszcze z całym naciskiem, że wystawa nie była nigdy patryotyczną demonstracyą, ale jedynie patryotycznym objawem naszego życia i rozwoju narodowego. Wszelkie odmienne twierdzenie jest wręcz fałszem. Nie wyzywaliśmy nigdzie nikogo — chcieliśmy tylko pokazać światu i pokazaliśmy, że żyjemy i żyć i rozwijać się możemy“.

SEJM.

VIII posiedzenie z 22 stycznia.

(Dokończenie).

W dalszym ciągu wczorajszego posiedzenia podczas szczegółowej dyskusyi nad sprawozdaniem komisyi szkolnej o przedłożeniu rządowem z projektem ustawy o zakładaniu i urządzaniu publicznych szkół ludowych, zabrał głos p. Skałkowski i postawił poprawkę, aby do zakładania nowych szkół wydziałowych przystępowała Rada szkolna krajowa tylko na podstawie osobnej uchwały sejmowej. Poprawce tej, którąby wywołała zmianę całego systemu w ustawie przyjętego, sprzeciwił się dr. Bobrzyński. Wprawdzie podobne postanowienie obowiązywało w dawniejszej ustawie, dziś mają być jednak inne szkoły wydziałowe, w klasach wyższych nie ma być nadal prowadzoną nauka powtarzająca, ale nauka dająca młodzieży pewne wyższe wykształcenie. Gdyby Sejm za poprawką p. Skałkowskiego chciał pójść, wówczas z konsekwencyi należałoby to samo uczynić z kursami rolniczymi i kursami dopełniającymi. Jeżeli p. Skałkowski zamierzał swym wnioskiem uzyskać dla Sejmu zaspokojenie, aby szkoły wydziałowe rozwijały się w powolnem tempie i z pewną ostrożnością, może to równie zdobyć zapewnieniem, że Rada szkolna krajowa już ze względu na misyę swą, nie może postępować z lekkomyślnością, ale, że do zakładania tych szkół przystępować będzie zawsze ze spokojem i rozwagą.

Sprawozdawca p. St. hr. Badeni również sprzeciwił się tej poprawce. W głosowaniu Sejm ją odrzucił.

Przy artykule 13, postanawiającym, jakie przedmioty mają być obowiązkowe w żeńskich szkołach wydziałowych, domagał się p. Okuniewski, aby do przedmiotów tych zaliczono także hygienę i gospodarstwo domowe. Również żądał p. Okuniewski jaśniejszej stylizacyi jaki język ma być w tych szkołach wykładowym, mówca obawia się bowiem, żeby ruski język nie był pokrzywdzony.

Dr. Bobrzyński uspokoił p. Okuniewskiego, iż kwestyę języka normuje ściśle ustawa państwowa. Co się zaś tyczy nauki hygieny i gospodarstwa domowego, oświadczył p. Bobrzyński, iż przedmioty te figurowały wprawdzie jako obowiązkowe w dawnej ustawie, ale nie miały najmniejszego powodzenia. Uczyło się tych przedmiotów w teoryi, bez praktycznych doświadczeń, a w tych warunkach rezultat osiągnąć było trudno. Ponieważ nauka tych przedmiotów nie odniosła pożądanego skutku, przeto przedmioty te zostały usunięte.

Po tem wyjaśnieniu p. Okuniewski cofnął swą poprawkę i paragraf przyjęto według brzmienia komisyi. W dalszym ciągu na wniosek ks. Kowalskiego uchwalono do art. 15 dodatek, aby kursa nauki dopełniającej odbywały się w takiej porze, by nie przeszkadzały młodzieży przez poświęcenie się zatrudnieniom praktycznym, także obowiązkowi uczęszczania na mszę św. i naukę katechizmu.

W końcu domagał się p. Langie, aby przy zaprowadzeniu nauki dopełniającej rolniczej, zaprowadzono także naukę ogrodnictwa. Po wyjaśnieniu p. sprawozdawcy, iż nauka ogrodnictwa należy w pewnej mierze do nauki rolnictwa, cofnął p. Langie swą poprawkę.

Przy tytule traktującym o uczęszczaniu do szkoły, zabrał głos p. Kramarczyk popierając projekt komisyjny, aby przymus szkolny rozpoczynał się od ukończonego roku szóstego życia dziecka. Całą zresztą ustawę przyjęto bez zmiany, do reszty paragrafów nikt nie wniósł poprawek i nie zabierał głosu.

Ks. marszałek oznajmił, że trzecie czytanie ustawy postawi na porządku dziennym następnego posiedzenia.

Przystąpiono do ostatniego punktu, tj. do wyboru 4 członków i 2 zastępców członków Rady nadzorczej Banku krajowego. Wybrani zostali jako członkowie pp.: Jędrzejowicz Adam, Kraiński Władysław, Scipio Karol i Schayer Karol. Jako zastępcy: p. Krzyżanowski St. i p. Mikolasch Juliusz.

Na tem wyczerpano porządek dzienny i odczytano złożone do laski marszałkowskiej wnioski: p. Okuniewski i towarzysze domagają się założenia seminaryum męskiego nauczycielskiego w Horodence z językiem wykładowym ruskim. P. Dworski i towarzysze wnoszą o wezwanie Rządu, aby postarał się w drodze konstytucyjnej o kredyt na dokończenie budowy mostu na Sanie w Przemyślu. P. Struszkiewicz i towarzysze o poparcie budowy kolei Tymbark względnie Dobra do Swoszowic, względnie do Wieliczki-Krakowa.

Koniec posiedzenia o godzinie 2 minut 10; następne odbędzie się w czwartek o godzinie 2 po południu.

Ruch ludowy w Galicyi.

VI.

Rozumniejszym chłopom, przywiązanym do wiary, pragnącym istotnego dobra kraju i własnego chłopskiego stanu, musiał być wstrętnym kierunek *Przyjaciela ludu*. Kiedy na scenę wystąpił ks. Stojałowski, otoczyli go i poparli, spodziewając się, że sługa ołtarza sprawiedliwości będzie bronić, należnych praw nieustraszenie się domagać, a jednocześnie nigdy nie da się prywatą unieść, na manowce nie poprowadzi. W tej myśli założone w Sączu — głównie za inicyatywą braci Potoczków — stowarzyszenie polityczne „Związek stronnictwa chłopskiego“ uznało wydawane przez księdza Stojałowskiego *Wieniec* i *Pszczółkę* za organ „Związku“. Tymczasem „pisma te zaczęły stawiać się ponad zarząd i przeciw zarządowi“, co więcej „ze złością na zarząd się rzuciły“, wskutek czego zarząd „Związku“ po różnych bezskutecznych pertraktacyach zdecydował się wydawać na własną rękę — począwszy od 1 marca 1894 — dwutygodnik *Związek chłopski* i w samym już tytule zaznaczył, że jestto „jedyny prawny organ stowarzyszenia tej nazwy“. — „Do kaduka“ pisze energicznie zarząd w swem sprawozdaniu, „byłby taki Związek i taka rada i taki zarząd, żeby kiwał głowami, jak ks. Stojałowski co wyrzeknie. Ks. Stojałowski, jak czegoś takiego potrzebuje, to może sobie obstalować chłopów od parady, takich, jak byli na wystawie z wosku w jednym pawilonie, niech ich poubiera w sukmany i kaftany, niech siądzie między nimi, i niech mu na wszystko kiwają głowami“...

„Związek“ nie myśli na wszystko głowami kiwać; prowadzić chce politykę „chłopską“, o chłopskie interesa chce się zastawiać, „dążenia swoich posłów i ludzi dobrej woli popierać i siły im dodawać i nad sprawami chłopskiemi własnemi oczyma czuwać“ — ale za roztropny, zanadto i za szczerze katolicki, zanadto o własne chłopskie interesa mu chodzi, aby zaprządz się w służbę jednego człowieka i dochodzić prywatnych jego uraz. Zerwawszy raz na zawsze z gwałtownie narzucającym się agitatorem, nie szczędzi mu w każdym z kolei numerze przykrych wymówek, gorzkich szyderstw; wykłada mu zasadnicze punkta katechizmu o posłuszeństwie władzy kościelnej; oświadcza, że jeśli go dawniej za redaktora mógł uważać, to przez głowę mu nie przeszło uważać go „za pasterza, za jakiego się ciągle w pismach swoich udawał, pisząc i zwodząc wiernych: Jam jest pasterz“.

Ks. Stojałowski nie pomaga, ale przeszkadza polityce chłopskiej; baje o jakiejś „chłopskiej Targowicy“, a sam z socyalistami kokietuje, odwodzi polemiką o swej osobie, apologiami swej działalności, od zajęcia się praktycznemi sprawami, które chłopu daleko więcej leżą na sercu, niż dwudziestu Stojałowskich; mową wypowiedzianą na wiecu nowo-sądeckim zdradził się niebacznie, że wrzekomy ów obrońca i opiekun ludu uważa chłopa za „ciemną masę“, niezdolną do pisania, do redagowania chłopskiej gazetki, do strzeżenia własnych swych interesów.

„Cofnę się od wszystkiego; kiedyście tacy niewdzięcznicy i nie uznajecie moich zasług, to wiedzieć o was więcej nie chcę!“ — rzekł ks. Stojałowski na zgromadzeniu Związku chłopskiego w Nowym Sączu. Niestety! groźby nie spełnia; na złość „kilku gburom i pomyjakom z Targowicy sądeckiej“ zapowiada założenie nowego towarzystwa „chrześcijańsko - ludowego“, oczywiście pod hetmańską buławą tego — jak skromnie we własnym swym organie się wyraża (*Nowy Wieniec* z dnia 25 października) — „bohatera, ks. Stojałowskiego“, który „jako arka Noego unosi się ponad gwałtowne wody potopu“... Wobec takich zakusów niepodobna nie walczyć, nie ostrzegać; niewesoła to konieczność, ale konieczność.

Pozytywny program „Związku“ zawiera w ogólnych zarysach te same postulaty i dążenia w dziedzinie politycznej, społecznej, ekonomicznej i cywilizacyjnej, do których osiągnięcia dąży cały ruch chłopski. W czem się odszczególnia, to że redaktorzy z oczu nie tracą zapewnienia, wyrażonego w statucie „Związku“: „Celem towarzystwa — a więc i jego organu — jest popieranie sprawy chłopskiej... przy zachowaniu podstaw religijnych, narodowych, państwowych, a więc w sposób legalny, oraz zgodny z nauką wiary św. katolickiej“. Bardzo korzystnie odszczególnia się tem, że nietylko w programowym artykule na samym wstępie zaręcza: „*Związek chłopski* żadnej waśni między stanami szerzyć nie będzie“ — ale stara się z pewną niezaprzeczalną dobrą wolą, teoretycznemu temu zapewnieniu w praktyce odpowiedzieć. Parę ostrzejszych zwrotów i wyrażeń przeciw szlachcie mogłyby bez wątpienia i bez szkody dla pisma być wykreślone; sądzić z nich, potępiać całe pismo — to może także za ostro.

KRONIKA.

Lwów 23 stycznia.

Godność podkomorzego otrzymał adjunkt sądu powiatowego w Brodach Józef hr. Kalinowski.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł lekarza powiatowego dra Antoniego Bronikowskiego z Sokala do Lwowa.

Egzamin kwalifikacyjny na nauczycieli szkół ludowych rozpocznie się w Stanisławowie dnia 22 lutego.

Konkursa. Wydział powiatowy w Kamionce Strumiłowej rozpisał z terminem do 31 bm. konkurs na posadę powiatowego inżyniera drogowego z roczną płacą 1000 zł. i ryczałtem na objazdy w kwocie 400 zł. — Sąd powiatowy w Dukli poszukuje dyetaryusza. — W magistracie w Drohobyczu jest do obsadzenia posada sekretarza z roczną płacą 1000 zł. dodatkami. Podania należy wnieść w przeciągu czterech tygodni.

Ministeryum handlu udzieliło wiedeńskiemu inżynierowi p. Gustawowi Ernstowi zezwolenia na podjęcie robót przedwstępnych dla kolei lokalnej normalno-torowej z Chabówki na N. Targ i Białkę do granicy koło Jurowa.

Wieczór. W sobotę odbędzie się u Marszałka księcia Sanguszki wieczór dla posłów.

W Czytelni katolickiej (Kopernika 5) odbędzie się we czwartek 24 bm. wieczorek muzykalno-wokalny. Początek o godz. 7 wieczorem.

Wydział „Echa“ na rok 1895 ukonstytuował się w sposób następujący: Prezes Adolf Walter, zastępca prezesa Adolf Rosenbusch, dyrygent Franc. Domiszewski, zastępca dyrygenta Kajetan Bojarski, sekretarz Antoni Lewandowski, skarbnik Józef Popowicz, gospodarz Kazimierz Kantor. P. Maryanowi Fontanie, długoletniemu prezesowi „Echa,“ który z powodu braku czasu nie mógł przyjąć tej godności na rok bieżący, wyraziło walne zgromadzenie podziękowanie za prace położone około rozwoju Towarzystwa, zaś p. Aleksandra Orłowskiego, ustępującego dyrygenta, zamianowano członkiem honorowym.

Spółka melioracyjna. Z inicyatywy dyrektora Banku kredytowego p. Marchwickiego odbywały się w ubiegłych dniach liczne konferencye przy wielkim zainteresowaniu się najwybitniejszych osób w naszem społeczeństwie — w sprawie instytucyi melioracyjnej.

Rezultat konferencyi bardzo jest pomyślny, — gdyż projekt p. Orłowskiego z Poznania został przyjęty, a liczne zebranie obywatelskie uchwaliło założenie „Spółki melioracyjnej“ we Lwowie, mającej na celu przeprowadzanie drenowania, melioracyę łąk, eksploacyę torfów, tudzież zakładanie w odpowiednich miejscowościach fabrykacyi rur drenowych.

W celu ukonstytuowania „Spółki melioracyjnej“ wybrany został ściślejszy komitet, składający się z pp.: Stanisława Jędrzejowicza, radzcy Romanowicza, dyrektora Marchwickiego, dyrektora Zgórskiego, radzcy Wereszczyńskiego, dyrektora Domaszewskiego, Brykczyńskiego, dra Rutowskiego, posła Skałkowskiego i posła Męcińskiego, — a mający w najbliższych dniach przeprowadzić zwykłe formalności.

Kapitan defraudantem, Z Przemyśla donoszą, iż stacyonowany tam kapitan 11go batalionu pionierów, Leopold Schmidt, zdefraudowawszy na szkodę skarbu wojskowego znaczną sumę pieniędzy, umknął z Przemyśla. Przed kilku dniami otrzymał urlop do Pragi. Gdy nie wracał w terminie wzbudziło to podejrzenie w jego przełożonych, przejrzano przeto oddane mu papiery i batalionową kasę i przekonano się, iż wykazuje ona deficyt. Natychmiast uwiadomiono o tym fakcie policyę, oraz władze wojskowe i zaczęto poszukiwać defraudanta. Policyi wiedeńskiej udało się wykryć tylko tyle, że Schmidt otrzymawszy urlop, zamiast do Pragi, przybył do Wiednia i tu stanął w jednym z hoteli. Tam uniform swój zmienił na ubranie cywilne i wyszedłszy z hotelu, więcej nie powrócił. Gdzie teraz przebywa nie wiadomo. Schmidt pochodzi z Klosterneuburga.

„Interview z Hurką“. Wychodzące w Paryżu dwutygodniowe pisemko pt. *Wolne słowo polskie* ogłosiło interview niejakiego p. Osieckiego z Hurką w Nicei 3 stycznia, tj. zaraz po wyjeździe Hurki z Warszawy. Kto jest ten p. Osiecki, który jeździł do Hurki, nie wiemy, być może, że to jest ten sam, który przed laty kilkunastu wydawał rozmaite humorystyczne i literackie pisma w języku polskim w Wiedniu, ale mu się nie powiodło, więc przerzucił się do urządzania spacerowych pociągów, gdy zaś i ta spekulacya uwieńczoną została niepowodzeniem, wyniósł się z Wiednia i przepadł bez wieści. Jego czy nie jego interview z Hurką, ogłoszone w *Wolnem Słowie*, podajemy dlatego tylko, że niektóre pisma polskie traktują je zupełnie poważnie, my zaś tak mocno wierzymy w doświadczenie polityczne naszych czytelników, że nie uważamy za potrzebne szeroko wykazywać, iż całe to interview jest, naszem zdaniem, od początku do końca skłamane. Osiecki opisuje rozmowę swoją następującemi słowy:

Korespondent: Jego ekscelencya porzuciłeś stanowisko wielkiego powołania, a wraz z niem sprawę wynarodowienia Polaków.

Hurko: Porzuciłem, bo 12 lat moich usiłowań w tym trudnym zawodzie żadnego nie odniosło skutku. Ja zdrowie straciłem, a Polacy, jak byli, tak są i będą Polakami i katolikami.

K. Aby naród jaki wynarodowić, zda się innych należało użyć środków, niż te, jakich W. E. używałeś.

H. Wszystkie usiłowania moje były daremne, bo Polacy za wiele mają protektorów za granicą Rosyi. Pierwszym jest Papież w Rzymie, któremu każdy niemal car ulega a jak jezuityzm zgubił Polskę, tak duchowieństwo katolickie w Polsce stoi na przeszkodzie do ruszczenia Polaków. Powtóre, Polacy w Galicyi są pieszczeni przez Cesarza Franciszka Józefa. Doznają swobód, jakich za byłej Rzpltej nie doznawali — a stamtąd dmie zaraza na Polaków pod rosyjskiem panowaniem zostających. Następnie, — choć cesarz Wilhelm jest wrogi Polakom — lecz konstytucya ich broni od ucisku i germanizacyi; tym sposobem cała granica Polski od ujścia Niemna aż do Nowosielicy na Bukowinie, jest otoczona żywiołem na wskróś polskim, który pożar narodowości polskiej szerzy aż do Litwy, gdzie Orżewski gwałtowniej odemnie postępował, a nic nie wskórał. A teraz rzućmy okiem na emigracyę polską, która swoją intrygą nie tylko Bismarka, ale i mnie z posad wysadziła.

K. A car Mikołaj?

H. To młody zapaleniec, będzie Polakom folgował, a co ja dla prawosławia zdziałałem, to on popsuje i gotów moje pomnikowe dzieło — cerkiew prawosławną w Warszawie — zaprzepaścić, a to tembardziej, że po moim odjeździe z Warszawy większa część funduszów zebranych została rozkradzioną.

K. A następca W. Eksc. hr. Szuwałow?

H. Szuwałow nie urósł do tego dzieła, jakie ja miałem przeprowadzić, bo to jest dworak, polityk; on nie użyje środków energicznych, a tylko z całą surowością militarną można rządzić w Polsce; ja potrafiłem w rygorze utrzymywać Polaków, a gdy on im pofolguje, to kto wie, czy się nie powtórzy rok 1863.

K. Czyż to być może?

Ostatnia nowela Dygasińskiego.

Szczęśliwym nazwać się może pisarz, który wyrobi sobie odrębną literacką fizyognomię, którego dzieła nie są podobne do owych dywaników ze szmatek, pozszywanych zręcznie z różnorbarwnych strzępków dzieł innych autorów. Taki autor o los swoich utworów może być spokojnym, przeżyją one stosy innych nieraz bardzo głośnych dzieł, bo powodzenie ich nie z gwaru jarmarcznej reklamy rośnie i są one owem źródłem, z którego czerpią pokrzepienie twórczości inni mniej samodzielni pisarze. Niestety, dzieje literatury wskazują, że nieraz bardzo wybitne talenta nie zdołały się wznieść do takiej niezależności, a z biegiem czasu coraz trudniejszem to się staje, bo wobec masy utworów literackich, prozą i wierszem pisanych, coraz trudniej wydobyć nowe motywa, nowe wzruszenia, nowe obrazy, a choćby tylko wynaleść nowe sposoby ich przedstawienia.

Do tych nielicznych szczęśliwców z reprezentantów naszej bieżącej literatury należy niewątpliwie Adolf Dygasiński, przedewszystkiem dzięki nowelom ze świata chłopskiego i zwierzęcego.

Dygasińskiego na brzeg wyrzuciła owa fala w naszym ruchu umysłowym, która wzniosła się przed ćwierćwiekiem mniej więcej, a której zwykle nadajemy miano „pozytywizmu warszawskiego“. W sztuce wywołała ona realizm, naturalizm, weryzm itp. modne kierunki, a dzieje ich w naszej literaturze są bardzo pouczające. Natrafiły owe naturalizmy na talenta wybitne, samodzielne, które nie ugięły się pod nimi, ale wziąwszy z nich co było do wzięcia, to jest sumienną obserwacyę życia, stworzyły w dziełach swych coś wielce różnego od drastycznych i doktrynerskich powieści Zoli lub wprost pornograficznych czasami utworów Maupassanta. Dzięki temu właśnie zamiast ślepych naśladowców literatury francuskiej wzięliśmy w spadku po owym ruchu np. Dygasińskiego lub tak potężną postać, jak Bolesława Prusa.

Wśród naszych realistów i naturalistów Dygasiński jest najrealniejszym i najnaturalniejszym. Jest szczerym i prawdziwym miłośnikiem natury w jej formach prostych pierwotnych i im bardziej się ku nim temata przezeń obrabiane zbliżają, tem doskonalsze dzieła wychodzą z pod jego pióra. Dawniej brał temata ze sfer wykształconych, ale wtedy jak na przekór powstawały rzeczy, w których niejedno znalazłoby się do wytknięcia, np. nowele: „Filozof i praczka“, „Głód i miłość“, „Dnie i noce w kantorze“, albo powieść „Von Molken“. Za to kiedy zstąpił pomiędzy chłopów stał się poprostu niezrównanym, a raczej jeden Prus może tu być godnym jego współzawodnikiem. Utwory, w których lud gra główną rolę, począwszy od „Wiesława“, zebrane razem, dałyby wielką bibliotekę. Ale w tych dziełach przeważał sentymentalizm. Dawniej nieznano ludu, tworzono więc sentymentalne sielanki, w których idealizowano los chłopa i zachwycano się jego barwnym strojem, potem poznano jego życie i powstała druga ostateczność. Chcąc wywalczyć dla chłopa rozmaite prawa i zdobycze cywilizacyi, poczęto jego samego idealizować, pod sukmanami w naszych powieściach kryły się zawsze wielkie serca, bohaterowie sami. Przedstawicielką tego kierunku jest przedewszystkiem Konopnicka. Dopiero Dygasiński (pomijamy Prusa) zaczął chłopa przedstawiać z wielką znajomością, a zarazem z bezwzględną prawdą. Wyposaża swe postacie ludowe często w prostotę uczucia (np. „Beldonek“), ale obok tego nadaje im wszelkie rysy naiwności, śmieszności, głupoty lub dzikości nawet, jakie u chłopów spotykamy. Chłop Dygasińskiego jest prawdziwym i dlatego właśnie w chwilach dramatycznych jego „ryk“ większe robi wrażenie i bardziej wzrusza czytelników, niż patetyczne lamenty bohaterów Konopnickiej.

Jeszcze doskonalszym jest Dygasiński w nowelach zwierzęcych. Tu już nietylko u nas, ale w całej literaturze europejskiej trudnoby znaleźć godnego jemu przeciwnika. Zwierzęta dawniej były tylko dekoracyą niejako w utworach literackich, co najwyżej stanowiły część krajobrazu lub służyły za alegoryę. Zaledwo też parę wyjątków w tym względzie dałoby się wynaleźć w naszej beletrystyce. Wskażemy tu pysznego psa Kurtę z „Przygody Stasia“ Prusa lub prześliczną w swej tragiczności historyę także psa Karuska z jego „Anielki“. Ale nawet Prus musi Dygasińskiemu ustąpić, jeśli chodzi o zwierzęta. On je z ostatniego wydobył na pierwszy plan, on je zrobił bohaterami swoich noweli i powieści, on dzięki im stworzył rzeczy, które może kiedyś do arcydzieł w swoim rodzaju zoztaną policzone.

Dygasiński kocha przyrodę, umie ją wybornie podpatrzeć, z namiętnem zamiłowaniem prawie notuje każdy jej objaw, każde jej drgnienie i z tych szczegółów powstają rzeczy niepospolite!

Dygasiński przed rozpoczęciem działalności powieściopisarskiej pracował wiele naukowo. Napisał nawet podręcznik psychologii i parę dzieł pedagogicznych. Otóż ta jego miłość do natury w nowelach i powieściach wygląda na reakcyę przeciw przesadnemu krytycyzmowi. Znużyły go wszelkie zaciekania się, bezsilne szamotania się ducha ludzkiego z samym sobą i zapragnął powrotu do form pierwotnych i jako artysta odwrócił twarz od przecywilizowanego świata ku naturze.

Najnowszą nowelą Dygasińskiego z życia zwierząt jest niedawno wydrukowana w Warszawie „Nienaturalna historya psa“. Występują tu i ludzie, ale usuwają się na drugi plan, a główną postacią, osią akcyi jest pies „Kwiatek.“ Przyszedł on na świat w ubogiej, nędznej nawet zagrodzie chłopa Nawrota, który właśnie na same święta Wielkanocne podniósł się z ciężkiej choroby, ogląda gospodarstwo i widzi wszędzie zniszczenie i ruinę. „Trzeba tu widzę porządek zrobić“, powtarza nieustannie sobie, żonie i trojgu dzieci.

Przeszły święta wielkanocne, ludzie użyli na święconem mięsie, na kołaczach, a w chałupie Nawrota był tylko chleb czarny. Chłop obdarty, brudny, z kołtunem na głowie, zły, zaraz poszedł na zarobek, powtarzając nieustannie:

„Trzeba tu, widzę, porządek zrobić“. Na południe przychodzi do chałupy, a tam między dziećmi pełno radości, że „Finka ma małe“. W milczeniu wstał z ławy, poszedł do psiej budy, skleconej przy stajence, i spostrzegł tu matkę z pięciorgiem szczeniąt. Ślepe psiaki skomliły, piszczały, garnąc się do wymion chudej Finki. Na widok gospodarza, psia matka zerwała się z legła i z pokorną miną podeszła do nóg jego, zdawała się mieć skrupuł, że wśród strasznej nędzy wydała na świat aż tyle potomstwa.

— Ho, ho! Trzeba tu zrobić porządek! — rzekł Nawrot, któremu nie na rękę był przyrost żywego inwentarza: pięć nowych gąb przybyło, a przecie wiatrem żyć nie mogły. Przez chwilę stał przy budzie, drapał się w głowę, nareszcie powziął postanowienie i krzyknął na najstarszego syna:

— Franek, bywaj!... Przynieś mi tu opałkę!

Chłopak niebawem przybył z opałką, a za nim biegły inne dzieci ciekawe, na co tatusiowi opałka potrzebna. Nawrot brał w rękę jedno szczenię po drugiem i wrzucał do opałki. Finka kręciła się niespokojnie, w jej ruchach znać było troskę o dzieci; ale przecież nie mogła stawiać oporu gospodarzowi.

— Tatusiu, cio wy zlobicie z temi pieskami? — zapytała pięcioletnia Zośka. — Ojciec nic nie odpowiedział, tylko wziął opałkę pod pachę i podążył ku rzece. I Nawrocięta i Finka zrozumiały, o co chodzi. Z ogonem spuszczonym, z głową zwieszoną szła suka tuż przy nogach swego pana, a Nawrociątka sznurkiem podążały w miarę sił swoich: najmłodsze co chwila upadało z bekiem na ścieżce. Przybyli nad rzekę. Chłop wziął jedno szczenię za skórę grzbietu i z całej siły cisnął je na środek rzeki. Bystro spojrzała Finka za dzieckiem i w oka mgnieniu skoczyła do wody. Gospodarz zaklął, krzyknął:

— Wara, nie rusz! Pójdź, psia duszo!

Tym razem wcale nie była posłuszna. Dopłynęła do szczenięcia, chwyciła je w zęby, usiłowała dotrzeć do brzegu, walcząc z wartkim prądem. Ale oto znowu drugie jej dziecię padło na wodę: wyraźnie usłyszała plusnięcie, pisk, jęk jakiś. Już obarczona ciężarem zawraca, płynie, chwyta i to drugie. Zmęczoną prąd unosi, trudno jej głowę wznieść po nad fale. Dotarła jednak brzegu, wspięła się przedniemi nogami. W tem krucha bryła się obsuwa, Finka z dwojgiem dzieci spadła w wodę; popłynęła dalej i dopiero na piaszczystym wybrzeżu złożyła skarby swoje: szczenięta już nie żyły.

Jeszcze nie miała czasu odetchnąć, gdy spostrzegła, że fale rzeki i dwoje innych jej dzieci unoszą. Bez namysłu, jak szalona, znowu się rzuciła w wodę, znowu chwytała jedno po drugiem, całemi siłami walczyła z prądem i znowu wyratowała parę nieżywych szczeniąt. Chórem zapłakały dzieci Nawrota: wzruszyło je nieszczęście Finki. Ojciec spojrzał na nie surowym, zimnym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ja się codziennie tak nurzam, a nikt nademną nie płacze“... Dzieci przycichły ze strachu.

W kobiałce zostało ostatnie szczenię, psiak czarny, z białym kwiatkiem na czole, podpalany pod gardłem i na piersiach, barwą przypominająca ogara.

— Nie topcie go, tatusiu! Niech choć jeden zostanie — odezwał się Franek głosem nieśmiałym, błagalnym.

— Kwiatek mu będzie na imię — dodała Zośka.

Chłop, jakby nie słyszał, wziął psiaka w rękę i rzucił. Szczenię jeszcze nie spadło na wodę, a Finka już była w rzece. Zośka przeżegnała się nieznacznie, jakby na intencyę ocalenia szczeniaka. Tym razem Nawrotowi rzut się nie udał: może mu ręka osłabła. Psię padło jakoś lekko i zaraz niedaleko brzegu. Szybko je pochwyciła matka, niebawem wyszła na brzeg z żywem dzieckiem i, nie zwlekając chwili, całym pędem uciekała od straszliwej rzeki. Ojciec powrócił z dziećmi do domu, nad rzeką zostało czworo nieżywych szczeniąt i tak się skończyła ta psia tragedya.

W chałupie wszystko szło po staremu. Nawrot pracował, był biedny, zły i powtarzał ciągle: „Trzeba tu będzie porządek zrobić!“

Odtąd Finka od czasu do czasu znikała gdzieś z domu, nie wiadomo gdzie się podziewała. Nawrocięta nieraz sobie zadawały pytanie, co suka zrobiła z tym psiakiem, którego ocaliła od utopienia. Kto wie, czy Franek nie umiałby na to odpowiedzieć; ale może zdradzenie tajemnicy uważał jako niebezpieczne na razie. Zośka nieraz, siedząc pod ścianą chałupy, głaskała Finkę i wprost ją zapytywała, gdzie ma dziecko. Psia matka merdała wtedy ogonem, spoglądała na dziewczynkę swoim poczciwym wzrokiem i czasem ją liznęła po twarzy jak gdyby tym sposobem chciała się uwolnić od natrętnych pytań. Tak przeszły może jakie cztery tygodnie, gdy jednego dnia z dworskiego pola, na którem leżały kupki nawozu, Finka podążała do chałupy Nawrota, a za nią niezdarnym krokiem pospieszał czarny psiaczek z kwiatkiem na czole, z ogonkiem zadartym do góry. Matka w kupce nawozu ukryła jedynaka i tam go odchowała.

Wśród dzieci Nawrota wielka była radość kiedy się w chałupie zjawił piesek, mający ochotę do figlów i zabawy: cały dzień bawiłby się z malcami. Przewracały go Nawrocięta, łechtały, pieściły, a gruby, pulchny szczeniak pociesznie nastawiał uszko, merdał ogonem, łaził wszędzie za dziećmi, sam je zaczepiał, wyzywał do figlów — zwyczajnie, jak młody pies.

Gospodarz, ciągle oddany pracy za domem, jakoś nie zauważył zrazu tego przybysza a może go i dzieci umyślnie skrywały.

Trzeba było zdarzenia, że Nawrot jadł raz obiad i dwie muchy odrazu wpadły mu w miskę gorącej zacierki. Chłop zgarnął je drewnianą łyżką i chlapnął na ziemię. Spojrzy, a tu jakiś obcy psiak zlizuje rozlaną wodę z muchami. Mruk był, więc tylko oczyma wyraził zdziwienie, nie rzekł ani słówka; ale wiedział już, że w chałupie jest jedno stworzenie niepotrzebne. „Trzeba tu zrobić porrądek“ — pomyślał sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

H. Pan nie znasz Polaków, jak ja ich znam; to naród lekkomyślny, porywczy, a nie wytrwały, i mimo, że wiedzą o tem, że z Rosyą walka jest chimerą, oni gotowi rzucić się w ogień, mimo przekonania, że w tym ogniu wszyscy zginą.

K. To bohaterski naród!

H. Gdyby nie z Rosyą, toby się byli niepodległości swej dobili, ale pod panowaniem Rosyi powinni, jeśli chcą zachować swoją narodowość, stać się jej częścią nierozdzielną; pracować nad polepszeniem bytu materyalnego, a z czasem, jak to było w początku panowania Aleksandra II uzyskają autonomię, a może i namiestnika-rodaka.

Walne zgromadzenie Tow. politechnicznego odbędzie się 6 marca o godz. 6 wieczorem.

Sprawa soli. Jeden z naszych prenumeratorów prosi nas o wydrukowanie kilku uwag w sprawie pokrzywdzenia długoletnich kupców trudniących się sprzedażą soli, którym Wydział krajowy przez zastępstwa swoje ustanowione do tej sprzedaży, stawia zaporę w dalszem prowadzeniu handlu. Oto co pisze: W *Przeglądzie* podany był wynik gospodarki solą przez Wydział krajowy ze stratą 42.500 złr. Jeszcze większe i godniejsze pożałowania są straty kupców, trudniących się sprzedażą soli przed wzięciem jej do sprzedaży przez zastępstwa Wydziału krajowego. Egzystencya ich została przez to podkopaną, a krajowi nie przyniosło to żadnych korzyści, bo konsumenci w tej samej cenie sól i przed objęciem jej przez Wydział krajowy pobierali — przeciwnie Wydział krajowy poniósł ogromne straty. Jeżeli się rozchodziło o umowę i pewne warunki co do utrzymywania składu soli i ustalenie ceny, to i dotychczasowi kupcy byliby chętnie weszli w rokowania z Wydziałem krajowym i na wszystko poprzestali, a Wydział krajowy nie byłby tyle wydał na zastępstwa i koszta manipulacyjne.

Wydział krajowy byłby zatem nigdy takich strat nie poniósł, gdyby był każdemu dotychczasowemu uprawnionemu kupcowi i nadal sól sprzedawał pod warunkami przez siebie ustanowionymi i na tej drodze monopol soli pod Zarządem Wydziału krajowego byłby w całej pełni zakwitł bez pokrzywdzenia wolnego handlu i przemysłu. Im większe bowiem kwantum soli pod zarządem Wydziału krajowego byłoby sprzedane, tem większe osiągnąłby zyski, a im więcej składów i sprzedających, tem więcej utrwalałaby się, ustalała i ujednostajniała cena soli w kraju, o które to ustalenie i możliwie do najniższej ceny zniżenie właśnie się Wydziałowi krajowemu rozchodziło, a cenę nietylko soli, ale w ogóle każdego towaru reguluje nie monopolizowanie go, ale raczej konkurencya między kupcami. O dawnych kupcach, sprzedających sól, a nie pociągających jej przez zastępstwa Wydziału krajowego, powiada Wydział krajowy, że czynią mu „konkurencyą“ i nie chce im przez swoje zastępstwa odstąpić soli na sprzedaż, odwołując się do tego, że już w każdej miejscowości są poustanawiane zastępstwa Wydziału do sprzedaży soli. I któż tu właściwie robi konkurencyę? Czyż kupcy trudniący się oddawna sprzedażą soli, sprowadzają ją z innych krajów i sprzedają taniej? Nie. A jeżeli tego nie czynią, są obywatelami kraju i opłacają podatki, czyż nie powinni być uprawnieni do sprzedaży soli tak, jak zastępstwa potworzone przez Wydział krajowy?

Gdyby przeto Wydział krajowy, dbający o rozwój handlu i przemysłu, potworzył większą ilość zastępstw, a każdemu z dawniejszych kupców, trudniących się sprzedażą soli, nie odmawiał jej do odsprzedaży, natenczas wszelka konkurencya pomiędzy kupcami, od dawna trudniącymi się sprzedażą soli, a zastępstwami Wydziału krajowego ustałaby, a kwestya soli nie przedstawiłaby się w tak rażącem świetle pod względem straty, jak właśnie w minionym roku.

Komunikacya między Lwowem a Krakowem przed laty 40.— Narzekamy jeszcze niekiedy na niedostateczną szybkość komunikacyi kolejowej, a przecież technika komunikacyjna w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu zrobiła więcej, niż całe ubiegłe wieki, i mimo to wcale nie ustaje w ulepszeniach. Wiadomo, że od 1 maja rb. na drodze Lwów-Wiedeń zaprowadzone będą pociągi, które w jedenastu godzinach odbywać będą całą tę przestrzeń. Rozkład będzie tak wygodny, że trudno życzyć sobie czegoś innego. O ósmej rano wyjedzie się ze Lwowa, o pierwszej będzie można zjeść obiad w Krakowie, a o siódmej być na operze w Wiedniu. Z powrotem zachowany będzie ten sam porządek.

A jeszcze niedawno jechano ze Lwowa do Wiednia niemal cały tydzień! Oto np. w roku 1855 dnia 23 lutego o szóstej rano arcyks. Karol Ludwik wyjechał ze Lwowa, na obiad dojechał do Mościsk i spożył go w domu kanonika Szafrańskiego. Nocleg odbył się w Radymnie, nazajutrz obiad w Górze Ropczyckiej u hr. Starzeńskiego i drugi nocleg w Tarnowie. Trzeciego dnia śniadanie w Brzesku u hr. Żeleńskiego i przyjazd do Krakowa o siódmej wieczorem.

Nieco lepiej była już wówczas Galicya uposażoną w telegrafy. Jedenaście lat przed zbudowaniem kolei, bo dnia 2 stycznia 1852 posiadł Lwów pierwszy telegraf, urządzony w gmachu namiestnictwa. Ciekawe były taksy za słowa. Liczyły się one na mile. Im dalej telegram miał iść, tem słowo było droższe. W cennikach ówczesnych znajdujemy inną opłatę za telegram ze Lwowa do Przemyśla, a inną znowu do Krakowa, bo tam tyle a tyle mil dalej. Swoją drogą musiały telegrafy te nie bardzo regularnie fungować, kiedy depesze nawet urzędowe nieraz w drodze odpoczywały. Tak np. pewna depesza ministra spraw wewnętrz. do namiestnika Gołuchowskiego z dnia 5 marca 1855 wyszła z Wiednia o godz. 9 minut 5 wieczorem, a do Lwowa przyszła nazajutrz o godzinie 10 przed południem. Szła więc trzynaście godzin.

Morderstwo. W Dąbrówce w pow. sanockim, włościanin Pałasz zamordował swą żonę. Zbrodniarza oddano w ręce sprawiedliwości.

Morderstwo i samobójstwo. Z Belgradu donoszą, iż profesor tamecznego uniwersytetu dr. Maedenowicz w przystępie szału zamordował żonę, następnie zaś usiadł na rozpalonej kuchni i spalił się w przerażający sposób.

Między Paderewskim a publicznością angielskiego miasteczka Torquay zaszło przed paru dniami przykre nieporozumienie. Paderewski miał grać w Torquay. Pomimo gwałtownej śnieżycy zjechało do miasteczka z bliższych i dalszych okolic kilkaset osób przeważnie drogo opłaconemi podwodami. Tymczasem na kilka godzin przed koncertem miejscowy aranżer Moony kazał rozlepić plakaty z wiadomością taką: „Pan Paderewski donosi nam, że w Torquay grać nie będzie z powodu zbyt niskich cen biletów. Pieniądze za miejsca zapłacone zwróci kasa.“ Łatwo sobie wyobrazić rozczarowanie, a nawet oburzenie zawiedzionej publiczności. W dziennikach nie szczędzono wyrzutów „pyszałkowatemu cudzoziemcowi“, zapowiadano mu ubytek sławy itd.

Wobec tej burzy Paderewski tłumaczył się w *Westminster Gazette* mniej więcej w ten sposób: Moony zapewnił mu honoraryum niezależnie od możliwego dochodu lub niedoboru, i częściowo wypłacił mu je z góry. Lecz... na cały tydzień przed występem w Torquay przekonał się artysta z ogłoszeń, że zamiast zwykłych cen prowincyonalnych — po 10 i 5 szylingów za bilety — Moony naznaczył ceny o połowę niższe. Ponieważ w dodatku Moony ogłaszał, iż sam zaangażował polskiego fortepianistę, gdy w rzeczywistości był tylko miejscowym i płatnym ajentem, obrażony Paderewski zatelegrafował mu natychmiast, że przy tak niskich cenach grać nie będzie. Wtedy ajent rozlepił owe plakaty donoszące, że artysta nasz nie chce grać z powodu niskich cen. Paderewski zaś utrzymuje, że gdyby grał po takich cenach jak naznaczył Moony, znaczyłoby to, że od ostatniej wizyty w Torquay wartość jego spadła... o 50 pct. Wypadek ten zainteresował żywo publiczność, zwłaszcza sfery artystyczne.

Dynastya Schüsslów. Z Żabiego donoszą, że do tamtejszej rady gminnej w liczbie 19 wybranych izraelitów wybrano 8 członków rodziny Schüsslów. Być może jednak, że ta kumulacya zaszczytów w rodzinie Schüsslów nie potrwa długo, gdyż przeciw wyborowi założono protest.

Zmarli. Malwina Czajkowska, wdowa po urzędniku sądowym, przeżywszy 64 lat, umarła w Jaśle. — Feliks Baczakiewicz, profesor gimnazyum św. Jacka, umarł w Krakowie w 49 roku życia. — Michał Sochaniewicz, adjunkt kolei państwowej, umarł we Lwowie w 41 roku życia.

Ofiary. Pani Walentyna Nartowska ze Skolego nadesłała nam zebraną na wieczorku 17 bm. kwotę 11 złr. 35 centów na odnowienie Wawelu, a pani z Gniewoszów Cybulska z Humnisk 2 złr. dla Głodnych Dzieci zamiast powinszowań noworocznych.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 2° R. w poł. — 1° R. Bar. 752. Spada. Śnieg. Pochmurno.

Przezorny gość.

Gość. Kelner, są tu u was koty?

Kelner. A jakże — są.

Gość. A ile ich macie?

Kelner. Trzy.

Gość. Przynieś mi te trzy koty.

Kelner (po chwili). Służę panu — oto są.

Gość. Dobrze, niech tu zostaną; a teraz idź do kuchni i zamów mi zająca!

Teatr. Dziś we środę, czwartek i piątek „Madame Sans-Gêne“, komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou i E. Moreau.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich prenumeratorów prospekt czasopism, wydawanych staraniem Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Literatura i Sztuka.

* **Kronika sztuk plastycznych.** Niedawny zgon Rodakowskiego, a potem Podkowińskiego nasuwa smutne refleksye nad tem ile to od roku zgasło wśród naszych artystów. Od chwili śmierci Matejki rozpoczął się ten pochód talentów w kraj cieniów, a nie było to wymieranie „starszego pokolenia“, gdyż razem ze starszymi schodzili z pola artyści w sile wieku, a nawet do najmłodszego należący pokolenia. Pod tym względem rok ubiegły bardzo przykre w sztuce polskiej pozostawia po sobie wspomnienie. Listę zmarłych już po Matejce artystów rozpoczyna fantazyjny kompozytor i ilustrator Władysław Motty w Poznaniu. W Krakowie zmarł dawny uczeń Matejki Włodzimierz Łuskina. Był to talent z wyraźnym popędem ku mistycznej niemal fantastyczności, talent, który łamiąc się z trudnościami technicznemi, wyrabiał się nieustannie. Z utworów Łuskiny największem powodzeniem cieszył się jeden z dawniejszych obrazów, nie noszący jeszcze wybitnych cech indywidualnych, zatytułowany „Król się bawi“. W Paryżu zmarł Ludwik de Laveaux właśnie kiedy rozwijać się począł w jedną z najbardziej zajmujących postaci w naszym młodym świecie malarskim. W Krakowie zmarł potem Henryk Dyrdoń a Warszawa straciła kilku artystów, mających przedewszystkiem lokalne znaczenie: Henryka Pillatiego, Stanisława Wolskiego, Władysława Gościmskiego i Jana Konopackiego. Potem zszedł ze świata Stanisław Łasiński, malarz i krytyk, znany i naszym czytelnikom jako „Jan Zawada“, a smutny ten szereg kończą Rodakowski i Podkowiński. Po tym ostatnim pozostał obfity a różnorodny dorobek artystyczny, świadczący jak ten niezwykły na każdy sposób a sam trawiący się wewnątrz talent, rwał się gorączkowo naprzód szukając własnej drogi.

Oprócz dzieł takich, jak: „Kobiety przy bilardzie“, „Ironia“, „Taniec szkieletów“, licznego szeregu portretów, w galeryach i zbiorach prywatnych z utworów Podkowińskiego znajdują się: cykl krajobrazów akwarelowych z Ojcowa, „Wśród koniczyny“, malowany w Paryżu, szereg obrazków, studyowanych w dobrach Nowa Wieś w grójeckiem („Zamieć śnieżna“, „Przed dworem“) i t. p. W r. 1891 Podkowiński namalował dwa obrazki „Elegant“ i „Elegantka“, podpisawszy je Alabers, co miało oznaczać, iż naśladował w nich znanego malarza życia salonowego, Van Bersa. Bardzo wiele prac, dzieł rzetelnego talentu i ognia twórczego, nie ukazało się nigdy na wystawach. Do takich zaliczyć należy: „Państwo H. z Nowej Wsi przy kominku“, „Portret p. B. H.“ (w czapce futrzanej i futrze), „Jeździec na białym koniu“ gwasz, „W galopie“, szkice pejsażowe i wiele innych. W pracowni śp. Podkowińskiego pozostały pomiędzy innemi: zaczęte płótno: „Wniebowstąpienie“, projekt do wielkiego obrazu pt. „Pięć zmysłów“ i wiele studyów. Po zniszczonym przez samego artystę obrazie „Szał“ pozostały tylko fotografie, które razem z pozostałemi po artyście obrazami mają się złożyć na specyalną wystawę, którą projektują w Warszawie.

Straty poniesione w zastępie pracowników sztuki wynagradza w drobnej części powodzenie naszej sztuki nietylko na wystawie lwowskiej, ale i za granicą.

Z Paryża dochodziły do nas wieści o niezwykłem powodzeniu „Modlitwy“ Szymanowskiego, gdzie też równocześnie znajdowały się prace: prof. Gersona, Godebskiego i wielu innych. U monachijskich secesyonistów odznaczały się prace: Boznańskiej, Szymanowskiego, Grocholskiego i Hirszenberga, w Kryształowym zaś pałacu Kowalskiego, Brandta, Czachórskiego i Wywiórskiego, któremu z kolei przyznano medal klasy II. W San Francisco 16 z naszych artystów zdobyło nagrody.

Rozglądając się naokół, co się w ostatnich czasach stało nowego w świecie artystycznym, nie możemy pominąć milczeniem wystawy secesyonistów, którą miał w ubiegłym miesiącu Wiedeń. Pominąwszy obrazy uznanych mistrzów, którzy dziwnym sposobem zaliczeni zostali w szeregi „młodych,“ pominąwszy wiele dziwactw artystycznych, jakie ta wystawa mieściła, garstkę istotnie „młodych“ i istotnie utalentowanych cechuje niezaprzeczona oryginalność.

Szczególnie wyraziste są portrety, szczególnie wymowne są krajobrazy, widoki torowe, stimmungsbilder i widoki architektoniczne. Podobno malują ci artyści nowemi farbami wodnemi, które po wyschnięciu dają się firnisować i wyglądają jak olejne. Lecz ich oryginalność wpada zbyt często w dziwaczność. Nie wolne od tych wad nawet głośne i nagradzane dzieła, np. „Wojna“ Stucka, świetna co do tonu, przejmująca potęgą postaci siedzącej na symbolicznym koniu, zraża przecież nagromadzeniem wstrętnej jatki, stosem odrąbanych członków ludzkich, gdy pobojowisko prawdziwe z ciał ludzkich harmonizowałoby z całością, potęgowałoby wrażenie.

Mniejsze talenty popadają zupełnie w niewolę szczegółów, motywu, jednostronności, w zupełny brak pomysłu, kompozycyi. Artysta przedstawia np. kilkadziesiąt czerwonych dachów, nic więcej. Daje szczegół, jak on go widzi; to mu wolno, tylko nie może mieć pretensyi do tego, żeby to było dzieło sztuki, kompozycya; jest to cenne, może dobre studyum, szczegół, który mógłby być użytym w kompozycyi, gdyby malarz do niej był zdolny. Taki szczegół sam przez się nie stwarza obrazu, nie robi zgoła żadnego wrażenia, może być zajmującym tylko dla profesora, dla kolegów, może i dla zbieracza jakiego, jako studyum szkolne.

Dotykając wreszcie spraw naszych lwowskich wspomnimy, że na naszej wystawie jest kilka nowości, jak np. „Portret“ Harasimowicza lub „Pobudka“ Łuskiny, nadto kilka prac obcych, Niemca Dottmanna i Hiszpana Rodrigueza. Ale o tych rzeczach zdamy sprawę osobno.

* **O postępowaniu w doskonałości i cnotach chrześcijańskich** przez ks. Alfonsa Rodrycyusza T. J. Z oryginału hiszpańskiego na język polski przełożył ks. Kazimierz Riedl T. J. Część pierwsza (Tom I i II). Kraków. 1895.

Nie masz roku, w którymby katalogi księgarskie nie doniosły o pojawieniu się to w tym, to w innym języku paru, czasem kilku dzieł pouczających jak Bogu w różnych stanach służyć, jak w doskonałości chrześcijańskiej się kształcić. Cenne to nieraz dzieła, wiele nieraz praktycznych i rozumnych wskazówek zawierają; ale rzadko które przechodzi granicę kraju, w którym zostało wydane, jeszcze rzadziej opiera się wpływami wszystko niszczącego czasu, znajduje czytelników po 30, po 50 latach. Książka, która przeszła zwycięsko te dwie próby: czasu i przestrzeni, musi odznaczać się szczególnemi zaletami; musi się niemi odznaczać i dzieło O. Rodrycyusza, kiedy doczekało się mnóstwa tłómaczeń na wszystkie języki świata, a choć upłynęły trzy z górą wieki od chwili, w której wyszło, a raczej jeszcze ze serca niż z pod pióra świętobliwego swego autora, nic na wziętości, na praktyczności nie straciło. Istotnie, śmiało powiedzieć można, że po dziś dzień, najlepszy to bodaj, najpraktyczniejszy i najbardziej wyczerpujący podręcznik prawdziwie chrześcijańskiej ascezy; podręcznik będący w literaturze ascetycznej do pewnego stopnia tem, czem dzieła św. Tomasza są w teologii, dzieła Skargi lub Bourdalego w literaturze kaznodziejskiej. Trzymając się starego zwyczaju, nazwaćby je słusznie można: „Sumą chrześcijańskiej ascezy“.

Nie dziw, że brak takiego dzieła w wiernem a poprawnem polskiem tłómaczeniu od dawna a dotkliwie czuć się dawał. Szczęśliwsi od nas Włosi, Niemcy, Francuzi wydawali raz po raz coraz to nowe, coraz poprawniejsze wydania Rodrycyusza; wydawali je to w całości, to w kompendyum przeznaczonem specyalnie dla ludzi świeckich; u nas skrócenie, „zastósowane do użytku ludzi świeckich przez ks. kanonika Cruice“, doczekało się w ostatnich jeszcze kilkunastu latach paru wydań; ostatnie polskie wydanie całego dzieła, uskutecznione w Grodzisku, datuje z r. 1862 i od dawna w handlu dostać go nie można. Co gorsza, wydanie to nie odznacza się bynajmniej już nie świetną, ale przynajmniej dobrą polszczyzną; czasami więcej może jeszcze z winy drukarza, niż tłómacza sens tak jest zawikłany, że jak najmozolniejszą zagadkę odgadywać go trzeba. To też nowe, poprawne wydanie całego dzieła Rodrycyusza od dawna piekącą było potrzebą; dobrze, że choć późno, potrzebie tej staje się zadość; lepiej jeszcze, że staje się jej zadość w całej pełni, z uwzględnieniem usprawiedliwionych, nawet bardzo daleko sięgających życzeń.

Ks. Kazimierz Riedl, znany z licznych swych polskich i ruskich pobożnych książeczek, przeznaczonych głównie dla ludu, zadał sobie niemało pracy, aby wydanie to do skutku przyprowadzić. Osądziwszy bardzo słusznie, że dawne tłumaczenia są wprost niemożliwe, zabrał się do zupełnie nowego i to na podstawie oryginału hiszpańskiego, odznaczającego się tak korzystnie niezrównaną swoją prostotą i wiejącą z każdej kartki gorącą pobożnością, od niektórych zwłaszcza późniejszych, niefortunnie przerabianych przekładów niemieckich i francuskich. Dokładnie, ze znacznym trudem sprawdzone cytaty z Pisma św. i Ojców Kościoła, umieszczone są w przypiskach w oryginalnym zwykle łacińskim języku. Słowem tłumacz nie szczędził niczego, aby nowe to wydanie było równie poprawne, jak z istoty swej treści jest pożyteczne,; wydawca i drukarnia ze swej strony dołożyli starań, aby z wewnętrzną treścią harmonizowała piękna zewnętrzna forma.

Cena sześciu poważnych tomów, na które rozpada się całe dzieło, a z których dwa mamy już przed sobą, wynosi 6 zł. (12 koron), a każdy tom z osobna 1 zł. (2 korony). W pierwszej chwili wydawcy pragnęli naznaczyć jeszcze niższą cenę i podali ją nawet w niektórych ogłoszeniach; niebawem jednak widocznie się spostrzegli, że cena taka nawet kosztów wydawnictwaby nie pokryła, i dlatego podnieść ją musieli.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 21 stycznia.

(Z.) Berlińska kontrmina operowała dziś na wielką skalę. Zdaje się, że postanowiła ona wytężyć wszystkie siły, aby upokorzyć znienawidzony Wiedeń. Hasłem zniżkowców berlińskich jest obecnie: „Tego ultima musimy zdeptać Wiedeń“. Arbitraż był dziś przez cały dzień czynny, gdyż sprzedawał ogromne partye na rachunek Berlina. Nasza giełda trzymała się jak mogła, bądź co bądź jednak udało się zniżkowcom berlińskim przełamać ten opór i kursa zaczęły się cofać na całej linii.

Kredyty spadły na 408. Sprzedaże arbitrażu wywołały także znaczne podrożenie monet złotych. Jeden papier wszelako wyjęty był z ogólnej zniżki, a była to austryacka renta koronna, której kurs dosięgnął dziś niebywałej wysokości 101¼, jest zatem przeszło o 1 zł. wyższym od kursu renty wspólnej.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 408·50, węgierskie 500·25, Anglobanki 181·—, Uniony 313·25, Bankvereiny 154·75, Landerbanki 281·—, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 298·—, Elbathale 274·—, Renta papierowa 100·35, srebrna 100·45, austryacka złota 125·95, 4% austr. renta wal. kor. 101·45, węgierska złota 124·15, 4% węgierska renta wal. kor. 98·80, dukat 5·84, 20-frankówka 9·90½, marki 12·22, ruble 1·33½.

Wiedeń 21 stycznia. Spirytus 15·70—15·90.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 23 stycznia.

Ceny tak zboża jak i spirytusu nie uległy żadnej zmianie.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·— do 6·50, żyto gotowe 4·80 do 5·15, owies obroczny gotowy 5·— do 5·50, jęczmień browarniany 4·75 do 5·50, jęczmień pastewny 4·— do 4·25, rzepak 8·— do 9.—, lnianka 6·— do 6·50, siemię konopne —·— do —·—, anyż 26·— do 28·—, groch pastewny 4·— do 4·50, groch jadalny 4·— do 8·—, wyka 4·50 do 5·—, bobik 4·25 do 4·50, hreczka 7·— do 7·50, kukurudza stara 6·— do 6·25, kukurudza nowa 5.50 do 5·75, chmiel za 56 kilo 20·— do 35, koniczyna czerwona 50·— do 65·—, koniczyna biała 60·— do 100·—, koniczyna szwedzka 40·— do 60·—, tymotka 20·— do 30·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei 13·50 do 13·75, spirytus na termina 13·25 do 13·75·

Telegramy „Przeglądu“.

Praga 23 stycznia. Tutejsza izba handlowa odbyła wczoraj uroczyste posiedzenie, celem naradzenia się nad godnem uczczeniem jubileuszu 50-letniego panowania Cesarza. Postanowiono założyć muzeum archeologiczne i przeznaczono na ten cel na razie 30.000 zł. Posiedzenie zamknięto wśród entuzyastycznych okrzyków „Hoch“ i „Slava“ na cześć Cesarza.

Ateny 23 stycznia. Gabinet Trikupisa podał się do dymisyi. Powodem jej jest różnica zapatrywań między królem a Trikupisem co do zachowania się następcy tronu na sobotnim mityngu.

(Na mityng, zwołany przez partyę opozycyjną, przybył był następca tronu ze swoim orszakiem, wmięszał się w tłum i zaczął się rozpytywać o co rzecz idzie, a gdy mu opowiedziano powody, dla których mityng został zwołany, oświadczył rozmawiającym z nim osobom, że zupełnie zgadza się z niemi i pochwala ich postępowanie. — Przyp. Red.)

Peszt 23 stycznia. *Budapester Correspondenz* donosi, że gabinet Banffy'ego postanowił dwa niezałatwione jeszcze przedłożenia kościelno-polityczne jeszcze w styczniu postawić na porządku dziennym izby magnatów.

Tryest 23 stycznia. Za rozszerzanie ulotnych pism anarchistycznych skazał sąd tutejszy włoskiego poddanego Davide na sześć miesięcy aresztu. Davide karanym był we Włoszech kilkakrotnie za kradzież a sądy tamtejsze przedstawiają go jako indywiduum wyznające zasady anarchistyczne i niebezpieczne dla ogółu.

Paryż 23 stycznia. Bourgeois po raz drugi podjął się misyi utworzenia gabinetu.

Arco 23 stycznia. Arcyksiążę Albrecht wyzdrowiał już zupełnie i był wczoraj po raz pierwszy na przechadzce.

Medyolan 23 stycznia. Na ulicy Jean Baptisti Vico eksplodowała wczoraj bomba, lecz nie zrządziła żadnej szkody. Drugą bombę, która nie eksplodowała, znaleziono na ulicy Brigii.

Peszt 23 stycznia. Sejm węgierski ukończył wczoraj debatę nad programem rządu. Prezes gabinetu Banffy oświadczył, że starać się będzie o to, ażeby nowe wybory odbyły się zupełnie legalnie, a ugody z r. 1867 bronić będzie przeciw każdemu. Fuzyę stronnictw, stojących na gruncie tej ugody, uważa Banffy za pożądaną i przy nadarzającej się sposobności nie zaniedba nic, coby mogło do niej doprowadzić, ustawy kościelne zaś wprowadzi w życie w tym duchu, w którym zostały stworzone, a zasady nie załatwionych jeszcze dwóch ustaw kościelno-politycznych pozostaną nietknięte.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spka.

we Lwowie — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 22 stycznia. Jan Juchnowicz z Czołhańszczyzny. Zygmunt Buchelt z Brzeżan. Leon v. Giżycki z Podola. Dr. Julian Czyrniański z Krosna. Irma Hertelenty z Brodów. Camillo Petri z Hamburga. Karol Barański z Radłowiec.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 23 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·— do 220·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 30[illegible]·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 448.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 10[illegible]·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·— do 97·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los. w 56 lat. 97·30 do 98·—.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·60 do 98·30 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.— do 100·70, 4 proc. z r. 1891 96.80 do 97·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·30 do 98·—.

Monety. Dukat cesarski 5·81 do 5.91, Napoleondor 9.85 do 9.95, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.27 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.70 do 61·10.

Wiedeń 22 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 413·62, węgierskie kredyty 504.50, anglobank 180.50, bankverein 157.75, unionbank 315.50, länderbank 283.90, staatsbahny 398.37, lombardy 104.75, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 231·50, rima 287.37, alpiny 95·80, renta majowa 100.47, węg. renta złota 124.35, austr. renta koronna 101.35, losy tureckie 73.60, węg. renta koronna 98·85, marki 60.95, ruble 133.25.

Wiedeń 23 stycznia (godz. 11 w południ.) Kredyty 414.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 183.75, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 284.60, Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 399.75, Lomb. (z kup.) 105.25, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.92, Losy tureckie —·—.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia Wrocławia, Berlina	2·24	**10·10**	**4·50**	10·35	**6·55**
Warszawy	—	**10·10**	**4·50**	—	**6·55**
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	**7·10**	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	**4·50**	—	—
M.-Kr. Żeg. przez Stryj	—	—	—	**7·10**	
Mező-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	**6·55**
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	**10·10**	**4·50**	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6·08	2·44	9·40	**10·20**	—
„ „ z Podz.	6·22	2·36	10·04	**10·47**	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	**10·30**
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	**10·30**
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	**10·30**
Nowosielicy	6·15	—	—	—	**10·30**
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	**10·30**
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	**6·45**	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	**5·40**	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	**5·40**	—	**7·10**
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	**7·10**
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	8·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	**6·10**	**9·00**
Warszawy	—	5·25	9·00	—	**9·00**
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	**9·00**
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mező-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	**6·10**	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	**9·29**	9·10	**5·45**	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	**9·13**	8·45	5·19	—
Suczawy	**9·40**	—	7·37	12·27	**6·35**
Kimpolungu	**9·40**	—	7.37	—	—
Radowiec	**9·40**	—	7·37	—	**6·35**
Berhometu i Czudyna	**9·40**	—	—	—	—
Nowosielicy	**9·40**	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	**9·40**	—	—	—	**6·35**
Husiatyna przez Halicz	**9·40**	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	**12·10**	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisł. przez Stryj	—	—	8·34	**12·10**	—
Stryja i Skolego	—	—	**8·47**	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

17)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Bratowa przypominała mu Renatę, kiedy pochylona nad swoim pierworodnym, przemawiała do niego pieszczotliwemi wyrazy. Miała ten sam wyraz w oczach, te same ruchy co tamta... jego żona. Dziadkowie tak samo rozkoszowali się wnukiem, tylko że tam matka Zuzanna ofiarowała domowemu bóstwu pierwszą mosiężną łyżkę, zamiast złotego zegarka, który lady Zuzanna sprawiła swemu pieszczochowi. Tak tu, jak i tam byli młodzi wujowie.

Prostacze, ponure wnętrze bretońskiej chaty, warczenie kołowrotków, miarowe kołysanie drewnianej kolebki, blaski płonącego ogniska rozświetlające czarne dębowe rzeźby, twarde celtyckie głosy przerywane piskliwym płaczem niemowlęcia, wianki kiełbas i czosnku zwieszające się od pułapu, zmieszane, silne zapachy gospodarskie, wśród których przeważała woń cuchnącego tytoniu, tworzyły rażącą sprzeczność z tym wykwintnym, angielskim dworem, przyćmionem światłami, delikatną wonią kwiatów ulatniającą się z chińskich wazonów, z obrazami współczesnych mistrzów zawieszonemi na staroświeckiej makatą obitych ścianach, z książkami oprawnemi w pozłacaną skórę, z delikatnemi ruchami i przyciszonym tonem mowy ludzi dobrze wychowanych. Rubaszny, nieumyty, zabobonny ojciec Michał był dziadkiem jego córki, zarówno jak i sędziwy wojak o sumiastym wąsie, w cienkiej, śnieżnej bieliźnie i mundurze jeneralskim, zdobnym orderami zasługi. A lady Zuzanna i jego bratowa strojne w jedwabie i koronki, z białemi, wypieszczonemi rękami i rysami twarzy nacechowanemi piętnem wyższego urodzenia i wykwintnego wychowania, jakże zgoła niepodobnemi były do bretońskiej babki i matki jego dziecka!

A przez cały ten długi wieczór twarz Renaty spoglądała na nich ze ściany temi smutnemi, wylęknionemi oczyma, pełnemi niemego wyrzutu i skargi, nad któremi tyle dyskutowano, chwalono i litowano się przed chwilą. I pomyśleć, że przyjdzie dzień, kiedy wszyscy tu zebrani zobaczą ją i dowiedzą się, w jakim stosunku zostawała do nich!

Pomimo licznych zajęć swoich i pracy, która pochłaniała mu wiele czasu, Andrzej bywał wiele w świecie i codziennie niemal spotykał Gracyę, którą przywykł uważać jako przyszłą swoją bratowę.

Pewnego jednakże poranku Ryszard zjawił się u niego, wesół na pozór, wyprostowany i przystojny jak zawsze, ale z dziwnie zmienionym wyrazem oczu.

— Zapisuję się do pułku przeznaczonego do Indyi — rzekł.

— Nie rób tego. Dicku. Po co ten pośpiech?

— Rzecz skończona, nie ma już o czem mówić. Na co się zdało tracić głowę dla dziewczyny, która prawi ci o honorze, przyjaźni, o żalu swoim z powodu, że nie domyślała się do czego to wszystko zmierza i innych tym podobnych banialukach. No, Jędrku, nie widzę dlaczego masz przybierać tak grobową minę?

— Ty nie wiesz, jak mi bardzo leżało na sercu, abyś się ożenił z Gracyą Brande — wybuchnął młodszy brat. — Nie odjeżdżaj więc, Dicku. Poprobój jeszcze szczęścia. Ileż to razy matka nasza rekuzowała ojca.

— To zupełnie inna rzecz — odparł. — Ja się napraszać nie myślę. Zresztą matka mówiła mi od samego początku, że to do niczego nie doprowadzi. A przytem nie wypada narzucać się pannie i wisieć u jej fartuszka. To odstrasza innych odpowiedniejszych konkurentów.

— Dicku, to czysta donkiszoterya! Któż bowiem może być lepszym od ciebie, mój ty poczciwy bracie? I któż bardziej kochać ją potrafi?

— To prawda — odparł Dick zamyślony. — Ale widzisz, ona innego bardziej kocha odemnie.

Część druga.

ROZDZIAŁ I.

Lato przyszło i przeszło, zima stopiła się w pierwszym podmuchu wiosny, drzewa zakwitły nanowo i opadły, a teraz krzaki głogów okryte były czerwonemi owocami, i promienne strugi wrześniowych, słonecznych blasków rozlały się nad ziemią jak błogosławieństwo nieba. Winne grona dojrzewały złociste w jesiennej, ciepłej pogodzie, drzewa w sadach uginały się pod ciężarem owoców, ostatnie róże kwitły rozkosznie w ogrodach, a katalpa i dzika winorośl, opinająca ściany białego dworu w Sanbourne, mieniła się purpurowo, przechodząc wszystkie odcienia więdnących barw pierwotnych.

Ptaków wielka obfitość była tego roku, to też mężczyźni z zapałem oddawali się ulubionej swojej rozrywce strzelania ich i co chwila rozlegał się ostry wystrzał fuzyi i błękitnawy dym ulatywał w górę, zkąd skrzydlata ofiara padała na ziemię.

— A tak wesoło świegotały jeszcze dziś z rana! — z żalem mówiła Gracya, siedząc w cieniu cedru i spoglądając na skrwawione łupy wojenne, porzucone na trawie przez powracających z wyprawy mężczyzn, którzy przyszli pochwalić się swemi trofeami.

— Niech pani nie posądza mnie o przeważny udział w tej rzezi — rzekł Andrzej, odsuwając nogą zabite ptaki na stronę. — Jeżeli pan Copley może się poszczycić, że porobił najwięcej ofiar, to ja znów chlubię się tem, że ile razy strzeliłem, prawie zawsze spudłowałem.

— Ja też pana rozgrzeszam — z uśmiechem odparła Gracya. — Podziwiam celność strzałów pana Copley'a, ale żałuję, że te biedne ptaszęta nie mogą ożyć nanowo. Zabijanie dla przyjemności tych niewinnych stworzeń, które się tak rozkoszują życiem, wydaje mi się okrucieństwem.

— Niech się pani pocieszy, miss Brande — rzekł młody sportsman, którego nazywano panem Copley'em — że są jeszcze filantropi, którzy po to tylko dźwigają strzelbę, aby ochronić życie niewinnych kuropatw.

— Są ludzie, którzy w gorszej sprawie używają broni — odparła Gracya chłodno.

Pan Copley wysoki, przystojny, silnie zbudowany mężczyzna, o błękitnych oczach i jasnych włosach, przedstawiał typ skończonego Anglika. Jakkolwiek krytycznie zapatrywała się na niego miss Brande, niepodobna mu było odmówić fizycznych zalet, ani towarzyskiej ogłady. Wiadomem było powszechnie, że stara się on o rękę młodej dziedziczki Swanbourne, a pomimo, że ta traktowała go obojętnie, nie szczędząc mu złośliwych docinków, w rodzinie i okolicy wróżono zamiarom jego dobre powodzenie. On sam nie zdawał się zrażać chłodem Gracyi, przypisując go wrodzonej kobiecej kokieteryi. Między nim a Andrzejem istniała skryta zawiść, zrodzona na gruncie wzajemnej podejrzliwości, to też gdy po herbacie Gracya wysłała Copley'a na odszukanie Karolka, sama zaś niezwłocznie zaproponowała reszcie towarzystwa spacer w przeciwnym kierunku, Marlowowi rozchmurzyła się twarz. Zawahał się jednak chwilę, bo mu w myśli stanęły słowa Dicka: To nieuczciwie trzymać się fartuszka panny i odstraszać innych konkurentów. A Dick jednakże miał prawo sięgnąć po rękę jej i serce, wtedy kiedy on... Zastanowił się również, iż Copley był odpowiednią partyą dla Gracyi. Posiadłości ich graniczyły z sobą, pochodził on z dobrej rodziny i używał jak najlepszej opinii. Idąc obok pani Forde Cusacke i zabawiając ją interesującą rozmową, podczas kiedy jej córka i lady Zuzanna pozostały nieco w tyle, Andrzej rozmyślał nad słowami wyrzeczonemi przez niedyskretnego Karolka na polowaniu, że Copley był kapitalnym chłopcem i że miał nadzieję, iż Gracya nie odrzuci jego, jak innych.

Rzeczy musiały zajść daleko, kiedy tę sprawę traktowano tak otwarcie. Jednocześnie stanął mu w myśli ostatni list jego żony, w którym ta błagała go, aby jej pozwolił przyjechać do siebie, dowodząc, że Anglia była najwłaściwszem miejscem dla nabrania poprawnego angielskiego akcentu. Twierdziła, że to bynajmniej nie powiększy jej wydatków. Ona i dziecko zabiorą tak mało miejsca; przytem ona sama będzie prać, gotować, sprzątać i naprawiać jego bieliznę, czem mu oszczędzi kosztów utrzymania sługi. Nauczyła się już czytać po angielsku; mogła też przepisywać na czysto różne papiery za niego, a jego oddalenie przyprowadziło ją do rozpaczy tak, że oczy jej nie obsychały od łez. Andrzej wobec tego czuł, iż musi poddać się nieuniknionej konieczności i sprowadzić do kraju, zapewniwszy jej odpowiednie pomieszczenie. Dochody jego zwiększyły się znacznie, a prace literackie, bardzo cenione, znajdowały też wielki odbyt w prasie. Nie miał więc powodu ociągać się dłużej.

Około Bożego Narodzenia postanowił odkryć rzecz całą rodzinie, wprowadzając do niej swoją córeczkę, której widok poruszy może serce dziadków. Jeżeli ojciec cofnie mu pensyę, to musi obyć się bez niej na przyszłość. Matki pewnym był w tym wypadku i liczył na jej bezgraniczne przywiązanie. Bywają przecież gorzej jeszcze dobrane małżeństwa, a jednak ludzie jakoś żyją i dają sobie radę.

Z towarzystwem i światem, w którym żył dotąd, musi zerwać raz na zawsze; domowe jego otoczenie będzie straszne, ale pozostanie mu klub, towarzystwo kolegów prawników i zajęcia, które pochłaniały coraz więcej czasu. C. d. n.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.